CZWARTEK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 128 2 LISTOPADA 1978 R CENA 1,50 ZŁ

FORMUŁA I – str. 6

Jak szybko biegnie ten czas... Już trzeci miesiąc nauki rozpoczęty. Uczniowskie głowy coraz pełniejsze – mądrości przybywa w nich z każdym dniem. W szkolnych dziennikach pojawiają się stopnie. Czy więcej jest piątek czy dwójek? Różnie to bywa. I choć stare porzekadło mówi, iż ,,uczeń bez dwójki, to jak żołnierz bez karabinu'' – my wbrew porzekadłu – życzymy wszystkim zdecydowanej przewagi piątek!

Fot. **J. Łopuszyński**

JEST GDZIE SIĘ SPOTKAĆ

CZĘSTOCHOWA (HSI). Druhowie ze Szczepu im. Kozielewskiego przy Zespole Szkół Zawodowych nr 5 w Częstochowie zwyciężyli w dorocznym konkursie ,,Harcerze współgospodarzami osiedla'' organizowanym w województwie częstochowskim. Uroczystość rozdania nagród odbyła się tam, gdzie spotkać ich można na co dzień, a więc w osiedlu Spółdzielni Mieszkaniowej przy ulicy Nadrzecznej. Mieszkańcy pamiętają dobrze, że wszystko zaczęło się od momentu, gdy harcerze przejęli piwnice w domu nr 53 i bardzo szybko wyczarowali z nich przytulne i nastrojowe wnętrze. Wymalowano ściany, zrobiono podłogi i założono światło. Dzieła dopełniły meble wykonane w czasie Operacji ,,Bieszczady-40'' i oryginalny kominek. Dzisiaj, sala ozdobiona widokami zamków Jury Krakowsko-Częstochowskiej służy codziennym spotkaniom i zabawie młodzieży – nie tylko harcerskiej. Odbywają się tutaj dyskoteki, festyny, rozgrywki, konkursy, giełdy staroci. Harcerze też dbają o ptaki budując dla nich karmniki. **(kż)**

WESOŁA GROMADA MA JUŻ 10 LAT

PIOTRKÓW TRYBUNALSKI (HSI). Harcerski zespół taneczno-wokalny ,,Wesoła Gromada'', działający przy Szkole Podstawowej nr 5 im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego, w październiku obchodzi swój jubileusz dziesięciolecia pracy. Zespół ten notowany jest w wykazie reprezentacyjnych grup artystycznych Głównej Kwatery ZHP. W ,,Wesołej Gromadzie'' śpiewa i tańczy 60 dzieci. Nawet dwugodzinne próby nie odstraszają uczestników zespołu. Regułą jest, że kto wstąpi do zespołu w pierwszej klasie, opuszcza go dopiero po otrzymaniu świadectwa ukończenia szkoły. 10-lecie pracy zespołu, które zbiega się z 10-leciem istnienia szkoły, uczczone zostało przez ,,Wesołą Gromadę'' specjalnie przygotowanym programem galowym. **(mi)**

Co słychać u przyjaciół

LEKCJE PROWADZĄ OLIMPIJCZYCY

ZSRR. Dwa lata temu, w czasie pierwszego finału zawodów ,,Start olimpijskich nadziei'', grupa olimpijczyków, trenerów i weteranów sportu zwróciła się z apelem do radzieckich sportowców o opiekę nad młodymi talentami sportowymi, które ujawniają się na szkolnych stadionach i boiskach. Tak powstała akcja ,,Radzieccy sportowcy – szkole''. Jedną z form tej akcji są spotkania największych sław sportu radzieckiego z młodymi sportowcami w Arteku, gdzie odbywają się obecnie finały zawodów ,,Start olimpijskich nadziei''.

MOSKWA (PAP). Skonstruowanie głębinowego batyskafu ,,Czernomor-3'' otwiera nowy etap w badaniu i wykorzystaniu zasobów naturalnych oceanów. Projekt batyskafu opracowali specjaliści leningradzkiego Instytutu Budowy Statków. To nowe urządzenie przeznaczone jest do badania środowiska wodnego na głębokości przeszło 1000 m. ,,Czernomor-3'' umożliwia – ze względu na swoją wielkość i wyposażenie – załodze prowadzenie badań w głębinach morskich w ciągu 40 dni. **(ag)**

1000 metrów pod wodą w ,,Czernomorze-3''

ŚWIĘTO NA OSIEDLU TYSIĄCLECIA

KATOWICE (HSI). Pod patronatem Miejskiego Ośrodka Związku Harcerstwa Polskiego na Osiedlu Tysiąclecia, w porozumieniu z Osiedlowym Samorządem Mieszkańców i Spółdzielnią Mieszkaniową ,,Górnik'' w Katowicach odbyło się w końcu września dwudniowe Harcerskie Święto Osiedla. Pierwszy dzień minął pod znakiem sportowej rywalizacji wszystkich mieszkańców osiedla. Występował też harcerski zespół ,,Violinki''. W drugim dniu zorganizowano giełdę sprzętu harcerskiego i mecz siatkówki – harcerze kontra rodzice. Całą imprezę zakończyło wręczenie nagród laureatom poszczególnych konkursów. **(kż)**

LATARNIA W ROZEWIU ... UROŚNIE

GDAŃSK (PAP). Na Rozewie dotarł specjalny konwój transportowy, którym przewieziony został z Gdańska nowy segment konstrukcji latarni morskiej im. Stefana Żeromskiego. Segment ten posłuży do podwyższenia latarni, której światło poczęły przesłaniać wierzchołki drzew bukowego rezerwatu porastającego Rozewie. Nowy segment umieszczony zostanie na swoim miejscu dopiero po zmontowaniu odpowiedniego dźwigu. Wówczas cała operacja potrwa już bardzo krótko. Istotne jest bowiem, aby przerwa w działalności latarni nie utrudniała nawigacji. **(kż)**

Te dziwne pióropusze, to po prostu ucinające sobie drzemkę flemingi. Oczywiście w chłodnym, jesiennym ZOO, a nie na wolności. Te biało-różowe ptaki – bardziej przypominające swoim wyglądem kwiaty – zamieszkują gorące obszary Afryki, Azji i Ameryki Płd.

Fot. **CAF**

SĄDY RODZINNE

W obronie i dla dobra dziecka

Państwo i społeczeństwo poprzez różne instytucje stara się zapewnić wszystkim dzieciom w Polsce szczęśliwe dzieciństwo. Wiadomo jednak, że choćby i największa troska państwa nie zastąpi dziecku rodziny. Państwowe Domy Dziecka w wielu wypadkach są koniecznością, ale już teraz myśli się o tym, aby ilość małych mieszkańców tych domów zmniejszyć do minimum na rzecz tworzenia rodzin zastępczych i adopcji. Chodzi bowiem o zapewnienie, jeśli nie wszystkim, to większości dzieci naturalnych warunków rozwoju. Obok innych instytucji państwowych i społecznych przede wszystkim Ministerstwo Sprawiedliwości stawia sobie opiekę nad rodziną za naczelne zadanie swojej działalności. Od niedawna wprowadziło ono pewne innowacje, które mają zapobiegać rozkładowi rodziny, a co zatem idzie – przestępczości nieletnich. W tym celu w styczniu br. powołało tzw. sądy rodzinne. Dotychczas różne sprawy związane z rodziną, jak np. rozwody, przestępstwa nieletnich, kłótnie majątkowe małżonków, sprawy mieszkaniowe w związku z konfliktami w rodzinie trafiały do różnych sądów w zależności od rodzaju sprawy i tak np. rozwód odbywał się w innym sądzie, a sprawa nieletniego z tej samej rozwodzącej się pary w innym. Dziś obie te sprawy trafią do jednego sądu rodzinnego. Gromadzone tam dokumenty i cała historia rodziny sprawią, że wszystkie jej sprawy będą mogły być rozstrzygane bardziej wnikliwie i sprawiedliwie, głównie z myślą o dziecku. Sądy rodzinne rozstrzygają rocznie około 350 tys. spraw. Z sądami rodzinnymi związanych jest blisko 15 tys. kuratorów rodzinnych, społecznych wychowawców. Współdziałają z nimi organizacje społeczne, młodzieżowe, MO, ORMO, Ludowe Wojsko Polskie i zakłady pracy. Ministerstwo Sprawiedliwości, starając się działać zapobiegawczo, stworzyło również ośrodki diagnostyczno-konsultacyjne prowadzone przez specjalistów z różnych dziedzin, gdzie można zgłaszać się po radę. Podobne zadanie mają ośrodki kuratorskie, gdzie pod opieką kuratorów spędza wolny czas młodzież zaniedbana, pozbawiona dostatecznej opieki rodziny. Również stworzenie funduszu alimentacyjnego poprawiło znacznie sytuację materialną rodzin niepełnych. Wszystkie te działania prowadzą do zmniejszenia ilości spraw rodzinnych, które trafiają do sądu. Zapewne również i wynikiem tych starań liczba rozwodów u nas się nie zwiększa, a wręcz przeciwnie – nieco maleje, podczas gdy w innych krajach dzieje się odwrotnie. W 1977 na 1000 mieszkańców w Polsce było 1,1 rozwodów, w USA – 4,6, w Szwecji – 2,7, w ZSRR – 2,4, w NRD – 2,6. Zbliżający się nowy rok, który będzie Międzynarodowym Rokiem Dziecka, zapewne sprawi, że troska o dziecko stanie się ważna dla każdego obywatela. (bt)

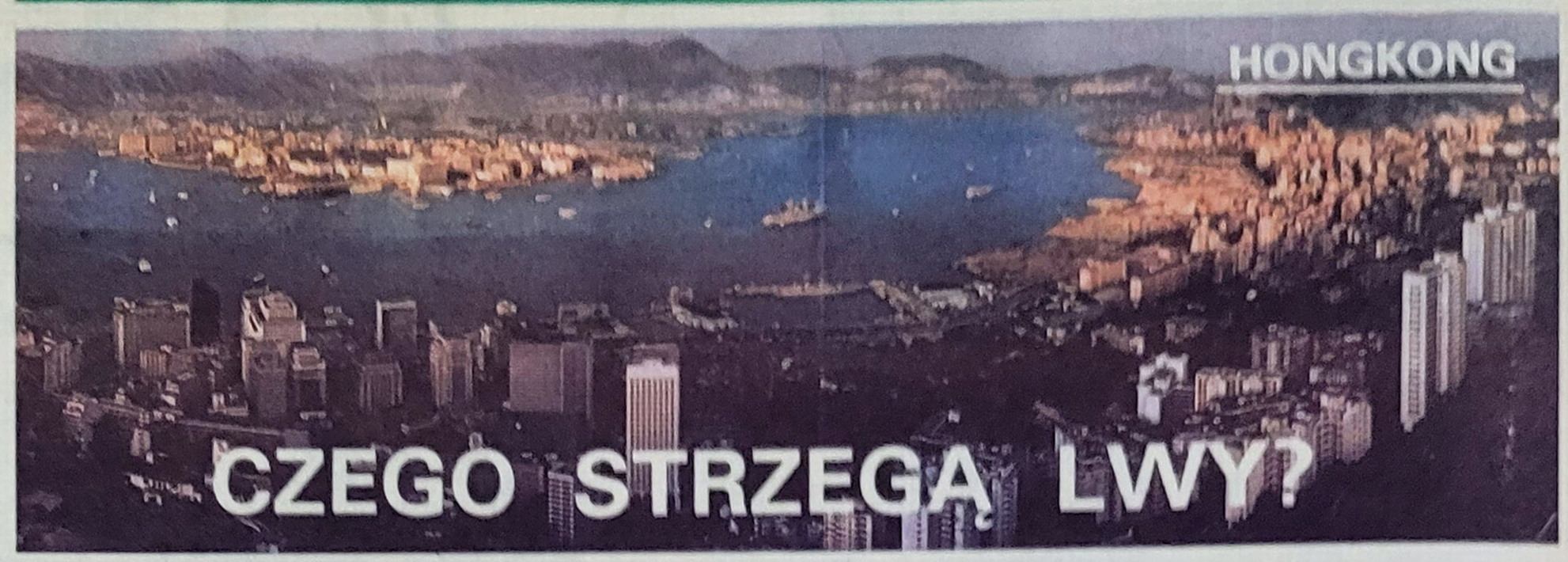

CZEGO STRZEGĄ LWY?

Trzej ciemnoskórzy żołnierze z indyjskiego plemienia Ghurków nieruchomieją w pozycji na baczność. Po chwili jeden z nich daje krok naprzód i odmierzonymi ruchami jak automat, przymocowuje do cienkiej linki kolorową tkaninę. Jeszcze moment i na szczyt masztu wędruje, rozwijająca się na wietrze, ogromna błękitno-czerwona brytyjska flaga. Krótka, zwykła ceremonia, na którą nikt z przechodniów nie zwraca uwagi. Każdego dnia punktualnie o 7 rano, najemni brytyjscy żołnierze wykonując te same, określone wojskowym rytuałem czynności, jakby przypominają światu, że Wielka Brytania jest jeszcze w Hongkongu. Że ten skrawek ziemi wykrojony przemocą w XIX wieku z terytorium Chin, jest ciągle pod brytyjskim władaniem. Ale czy rzeczywiście jest?

Niedaleko od owego masztu z brytyjską flagą, znajduje się ulica Życzeń, przy której spełniają się choć może nie zawsze, życzenia ludzi mających pieniądze. Tu bowiem mają swe siedziby największe banki. Szczególną uwagę zwracają dwie pary lwów – jedna z kamienia, druga z brązu. Pierwsze „strzegą" wejścia do **Hongkong and Shanghai Corporation**, czyli głównego banku kolonii, drugie „czuwają" u wejścia do **Banque de Chine**. Nie wiem jak tam jest teraz, ale przed kilku laty na dachu tego banku, zapalała się każdego dnia o zmroku wielka, czerwona świetlna „reklama": **„Niech żyje przewodniczący Mao!"**. Bank ten kontrolowany jest przez Narodowy Bank ChRL i nie tylko on... Jeszcze 15 mniejszych banków w Hongkongu, podporządkowanych jest władzom finansowym Chin. A kto ma pieniądze w świecie biznesu, ten... Powiada się w tej kolonii, że wystarczyłby jeden telefon z Pekinu, aby Anglicy zwinęli swą flagę, spakowali walizki i grzecznie wyjechali. Ale telefon milczy.

Co to jest Honkong? Nazwa wywodzi się z chińskiego Huang Kong, a znaczy to – pachnący port. Jest to, a właściwie było zgodne z prawdą, jako że właśnie tu ładowano niegdyś na statki chińską herbatę i przyprawy korzenne. Ale to już przeszłość i jeśli czymś tu teraz pachnie, to ropą naftową i spalinami samochodowymi. O „zapachu" dzielnic biedoty, lepiej nie wspominać. To co przyjęto nazywać Hongkongiem składa się z niewielkiej, skalistej wyspy o tej właśnie nazwie, południowej części półwyspu Koulun nazywanej – Nowe Terytoria oraz 33 wysepek. Na tym niewielkim obszarze (1013 km²) żyje 4 czy 5 milionów Chińczyków i ok. 40 tys. Europejczyków. „Broni" tej brytyjskiej kolonii ledwo 3 200 żołnierzy, co wystarcza do codziennego podnoszenia flagi i innych czynności reprezentacyjnych, ale nie ma żadnego militarnego znaczenia. Bo też i nie istnieje taka potrzeba. Brytyjczycy wielokrotnie zapewniali, że nie oddadzą nawet jednego strzału w obronie Hongkongu. Dzieje się tak, ponieważ zarówno Chiny jak i W. Brytania zgodnie uważają, że kolonia ta nigdy nie przestała być chińską ziemią. W 1972 r. delegat ChRL w ONZ zażądał by ta posiadłość brytyjska nie figurowała na liście kolonii oraz by Komisja ONZ do spraw Dekolonizacji, przestała się wtrącać do Hongkongu. W. Brytania natychmiast zastosowała się do tego życzenia, wykreślając słowo „kolonia" z niektórych oficjalnych dokumentów. I... wszystko zostało po staremu.

Francuska gazeta „Le Monde", tak komentuje tę sytuację: *„Hongkong stanowi dla Chin okno otwarte na świat zewnętrzny. Umożliwia Chińczykom utrzymanie bezpośrednich i ożywionych kontaktów z międzynarodowymi grupami finansowymi i przemysłowymi bez potrzeby wpuszczania cudzoziemców do Pekinu, Szanghaju czy Kantonu"*. Kolonia jest głównym źródłem dopływu dewiz dla ChRL, stąd czerpie się ich prawdopodobnie ponad połowę. Chiny umożliwiają kolonii życie. Pekin zaspokaja niemal w stu procentach jej potrzeby żywnościowe, a także zapotrzebowanie na wodę, cement i piasek potrzebne do budowy miasta. Ponadto całkowity niemal brak strajków w Hongkongu od kilku lat, mimo spadku płac o 15 proc. i bezrobocia sięgającego kilkunastu procent zatrudnionych, jest także w dużej mierze dziełem Chin, które wydały odpowiednie instrukcje kierownictwom związków zawodowych. Nie jednemu wydaje się paradoksem, że Chińczycy, którzy z takim zapałem odgrywają rolę adwokatów narodów uciskanych, godzą się z faktem by cztery miliony ich braci żyło pod kapitalistycznym uciskiem. No cóż, nie tylko w tym przypadku praktyczne działanie ChRL odbiega daleko od głoszonych ideałów.

Ale to otwarte okno na świat, spełnia rolę nie tylko „okienka kasowego" ChRL. Hongkong służy również innym celom. W końcu ub. roku odbyła się w Pekinie „narada przygotowawcza ogólnochińskiej konferencji do spraw Chińczyków mieszkających za granicą". Z uczestnikami narady spotkali się najwyżsi dostojnicy, a między innymi członek Biura Politycznego KC KPCh – Keng Piao, kierujący – jak się powszechnie uważa – działalnością chińskich służb wywiadowczych. Władze Hongkongu już w pierwszych miesiącach odczuły skutki tej narady: zarejestrowano ogromny wzrost napływu legalnych przesiedleńców z ChRL. Dla wielu z tych przesiedleńców, będących agentami wywiadu, Hongkong jest tylko punktem przerzutowym. Prasa indonezyjska wielokrotnie donosiła o masowym przenikaniu do kraju przez Hongkong, pracowników chińskich służb specjalnych, które zajmują się szpiegostwem, kolportowaniem podburzających ulotek, nawiązywaniem kontaktów z siłami przeciwnymi rządowi. Oficjalni przesiedleńcy to ledwo część obywateli ChRL, przedostających do brytyjskiej kolonii. Każdej nocy dziesiątki Chińczyków opuszcza nielegalnie (pytanie – czy zawsze?) Chiny i płynie wpław dziesiątki kilometrów do Mirs Bay lub Deep Bay na południu kolonii. Po całodziennym odpoczynku na którejś z wysp, następnej nocy płyną dalej. Niektórych odkrywają łodzie patrolowe chińskiej straży granicznej, wielu tonie z wyczerpania, inni padają ofiarą rekinów. Jak twierdzi policja w Hongkongu, na jednego zatrzymanego przez nich uciekiniera, trzech „ginie w tłumie".

Sławę w ostatnich latach zdobyła kolonia nie dzięki chińskiej kuchni, egzotyce, przemytowi narkotyków uprawianym przez przypominające mafię bandy „Czuczau", lub turystom. Jej „biletem wizytowym" jest ogromna ilość artykułów powszechnego użytku ze znakiem „Made in Hongkong". Można je spotkać we wszystkich sklepach świata, nie wyłączając naszych komisów. Z przemysłem kolonii ściśle współpracują Chiny, które są głównym dostawcą części do tranzystorów. W roku ubiegłym eksport chiński wzrósł w tej dziedzinie o 40 proc. Publiczną tajemnicą jest fakt udziału kapitału chińskiego w międzynarodowych towarzystwach posiadających w Hongkongu zakłady przemysłowe.

Tak więc wyzyskują robotnika w brytyjskiej kolonii nie tylko Anglicy, Amerykanie i Japończycy... Właśnie w tych, najwyższych kręgach biznesu kursuje anegdota, w której jest wiele prawdy: „Gdyby nie było Hongkongu, Chińczycy musieliby go wymyślić".

JERZY KOWALKOWSKI

Fot. archiwum

Upominek za nic?

Pani Barbara z komitetu rodzicielskiego należy do osób niezwykle energicznych i zaradnych. Co tu dużo mówić – z najtrudniejszej sytuacji potrafi znaleźć wyjście i tak pokierować sprawą, że wszystko staje się jasne i proste. Nikt się więc nie dziwi, że właśnie jej powierza się sprawy – rzekłbym – najdelikatniejszej natury. A do takich należą urodziny lub imieniny pani wychowawczyni, dyrektora czy vice. I nie byłoby w tym nic złego, gdyby uczniom pozwolono wyrażać swoje uczucia i wdzięczność spontanicznie, z własnej nieprzymuszonej woli. A tymczasem...

Już na dwa tygodnie przed dniem imienin wychowawczyni klasy IVb, pani Barbara zebrała wszystkich „zainteresowanych" i – jak to jest w jej zwyczaju – postawiła sprawę zwięźle i konkretnie: każdy uczeń i uczennica muszą w ciągu trzech dni przynieść do szkoły 100 zł na upominek dla solenizantki. Nie wszyscy z „zainteresowanych" mogli przynieść tę kwotę – mieli się więc za swoje, bo pani Barbara przed całą klasą wyrzucała im skąpstwo i wyłamywanie się z uczniowskiej społeczności.

W tej klasie znalazły się jednak dzieci bardziej od innych „wdzięczne" pani za naukę i opiekę. Poza opodatkowaniem się na oficjalny upominek przyniosły jeszcze od siebie prywatne. Tylko, że w atmosferze podniosłego nastroju klasowego święta nikt nie zauważył grymasu przykrości na twarzy obdarowywanej...

Mówiła mi później, że właśnie w tym momencie pomyślała, że te upominki nie są chyba bezinteresowne. Piotrek, słabiutki uczeń, ostatnio znów postawiła mu dwójkę, a on przyniósł bombonierę i bukiet róż! Rodzice wydali na to sporo pieniędzy, a w domu przecież się nie przelewa... Albo Kasia. Wzorowa uczennica. Mogła podejść i złożyć życzenia, a nie zaraz wręczać drogi wazon. Jeśli już, to wystarczyłby kwiatek lub własnoręcznie wykonana laurka. Nie, nie można jeszcze nazwać tego łapownictwem. Jest to na razie coś w rodzaju napiwku za usługi – „uczy mnie pani, jest pani dla mnie życzliwa – proszę przyjąć ten upominek".

Oto w 42 numerze „Perspektyw" Andrzej A. Dobrzyński pisze, że „w jednej z podkrakowskich zaocznych szkół mechanicznych samorząd uczniowski uchwalił, że nauczyciele będą otrzymywać co semestr po 500 zł od każdego słuchacza. Ponieważ im wyższy semestr – tym bardziej warto zabiegać o życzliwość, przeto słuchacze semestru drugiego płacili już 600 zł, zaś trzeciego i czwartego po 800 zł."

Szkoła i dzieci nie są i nie mogą być izolowane od wychowawczych wpływów środowiska dorosłych. Można jednak i trzeba chronić je przed złymi praktykami tego środowiska. A przybierają one często „niewinne" formy, jak choćby to, że dziecinkowi wciska się do rąk „upominek dla pani" i karze się mu być wdzięcznym za to, że pani dobrze spełnia swoje funkcje.

Nie wszyscy uczniowie, a właściwie ich rodzice, mogą i chcą w ten sposób wyrażać swoją wdzięczność. Rodzą się więc zawiści i jakże często nieuzasadnione podejrzenia, że Jasio dlatego otrzymał piątkę, ponieważ wręczył pani bombonierę i bukiet róż. Ot, taki sobie upominek „za nic"...

Warto jednak zdać sobie sprawę z tego, że upominki „za nic" stają się praktyką powszechną. Daje się je salowym, lekarzom, urzędnikom, konduktorom, szatniarzom, taksówkarzom... Jedni uczą się dawać, a drudzy brać. Najsmutniejsze jest to, że uczymy tych praktyk dzieci. I choćby to dawanie ubrać w najpiękniejsze słowa – efekt jest ten sam...

RYSZARD RATAJCZYK

Tu echosonda... tu echosonda...

ZAJĘCIA PRAKTYCZNE POD LUPĄ

Przyszła pora na podsumowanie naszej echosondy. Dostaliśmy wiele listów, a w nich dużo interesujących wypowiedzi. Jest sporo rozbieżności w ocenie programu zajęć praktyczno-technicznych:

„W klasie V i VI uczyłyśmy się robić na drutach i szydełku. Teraz gotujemy. To mi się bardzo podoba. Nie bardzo wyobrażam siebie i koleżanki przy obrabiarkach" ***Brygida***

„Początek roku zapowiadał się nieźle: piekłyśmy roladę, szarlotkę, robiłyśmy placki ziemniaczane, naleśniki z bitą śmietaną i zupę ogórkową, ale na tym się skończyło! Następnie przeniosłyśmy się na... elektronikę! Przewody elektryczne, gniazdka, wtyczki, sprzęt instalacyjny – oto główne tematy. Moim zdaniem zajęcia praktyczno-techniczne dla dziewcząt powinny obejmować kurs pieczenia, gotowania, szycia i tematy związane z gospodarstwem domowym. A sprawy elektryczne i elektrotechniczne powinny być przeznaczone na zajęcia dla chłopców, których to bardziej interesuje niż nas." ***Barbara***

Jak z tego wynika, dziewczęta, mimo że chcą dorównać chłopcom w wielu dziedzinach niezbyt się garną do elektroniki. Czy chłopcy również odżegnują się od typowo babskich zajęć? Otóż nie!

„Może się wydawać dziwne, ale najbardziej na ZPT lubię przyrządzać nowe potrawy. Robimy to lepiej od naszych koleżanek." ***Marek***

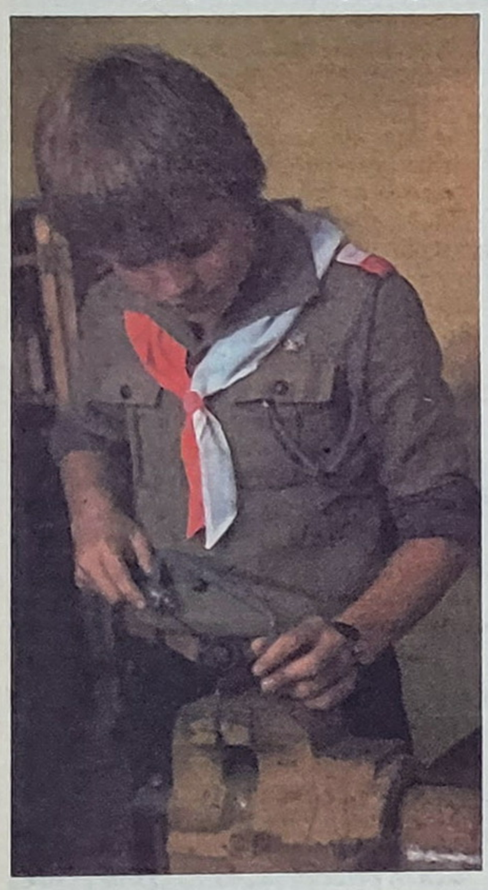

Ale nie to jest najważniejsze. Z wielu listów wynika, że najważniejszy jest dobry nauczyciel, który potrafi w interesujący sposób poprowadzić zajęcia, zatroszczyć się o właściwe wyposażenie pracowni. Bo w wielu szkołach ZPT wyglądają właśnie tak jak np. w Miłkowie, Moryniu, Ustrzykach, Gliwicach...

„W minionym roku szkolnym lekcje odbywały się w Ośrodku Nowoczesnej Gospodyni. Potrzebne artykuły były kupowane przez GS. Kiedy nadchodził upragniony wtorek, cała siedemnastka dziewcząt gnała na godzinę 8. W ośrodku jest doskonale wyposażona kuchnia. Byłyśmy podzielone na 4 grupy. Obowiązywały czyste fartuszki i czepeczki ochronne. Po wykonaniu potrawy następowała ocena każdej z grup. Brano pod uwagę estetykę stołu i oczywiście smak potrawy. Nauczyłyśmy się robić kanapki, surówki, desery, zupy." ***Donata S. z Miłkowa.***

„Pani podzieliła nas na grupy, a potem każda grupowa przydzielała czynności w swojej grupie. Nasza pani chodzi między stolikami, tu doradzi, tam pochwali, pomaga nam dekorować potrawy, a po zakończeniu zwołuje grupowe, by powiedziały, którą potrawę uważają za najlepszą. I na podstawie ich wypowiedzi stawia stopnie. W tamtym roku szkolnym miałam trudności z szyciem. Gdy właśnie męczyłam się przy maszynie, pani Głodna podeszła do mnie i pokazując różne ściegi objaśniła mi sposób ich wykonania. Potem siedziała przy mnie dotąd, aż nauczyłam się wykonywać je bezbłędnie. W naszej klasie zarówno dziewczęta jak i chłopcy nie mają wątpliwości co do tego, że ZPT są najciekawszymi lekcjami w szkole". ***Marzena z Morynia.***

Z dobrym nauczycielem nawet kłopoty z materiałami można rozwiązać:

„Z tym przedmiotem nie mam żadnych trudności. Pracownie są dobrze wyposażone i nie potrzeba się martwić o materiały. Na początku roku przynieśliśmy po 50 zł, za te pieniądze pan wszystko kupuje i rozdaje każdemu na lekcji w takiej samej ilości." ***Ewa Ustrzyki Dolne.***

Dobrze, że przedmioty wykonywane na ZPT są użyteczne jak np. w tej szkole:

„Pan poprosił, byśmy wybrali sobie z książki do fizyki jakiś przyrząd. Każdy wybrał coś innego do zrobienia i teraz będziemy mieli własne pomoce na lekcje fizyki." ***Grzegorz z Grężówki,***

A najważniejsze (powtarzało się to w wielu listach), gdy nauczyciel jest tylko doradcą, a uczniowie mogą realizować własne pomysły:

„Po każdej lekcji omawiamy, co przynieść na następną. Pani nam daje prawo głosu. Robimy zawsze to, co chcemy. Wszyscy chętnie wykonują prace i pani nie ma z nami żadnych kłopotów." ***Jola z Gliwic.***

Nie wszyscy jednak mają tak dobrze! W wielu listach znalazły się opisy lekcji źle zorganizowanych i nudnych.

„Chodzę do siódmej klasy. Od piątej do teraz zrobiliśmy jedenaście prac technicznopraktycznych z tego: 6 całkowicie, 3 niedokończone, a dwóch wcale nie zrobiliśmy, choć były zapisane. Z tym przedmiotem nikt w naszej klasie nie ma trudności, gdyż stopnie zdobywa się głównie za to, że przynosimy materiał. A kto nie chce robić prac, może być dyżurnym przez kilka lekcji!" ***Karol.***

Nieraz prace są wykonywane nie podczas lekcji, ale w domu przez rodziców. Czy rodzicom potrzebne są oceny z zajęć praktyczno-technicznych?

„Robiłyśmy z puszek po kawie wiaderka na farbę. Musiałyśmy lutować, a jedyna w szkole lutownica była zepsuta. Wszystkim dziewczynom ojcowie zrobili wiaderka, a żadna z nas nie ma pojęcia o lutowaniu!" ***Ala.***

Nieraz nie ma komu zagospodarować pracowni, a przedmioty są wykonywane przez kilka miesięcy:

„W naszej pracowni są szafki, ale nic się w nich nie znajduje. Są też kuchenki gazowe, z których wcale nie korzystamy. Gdy koleżanki z innych klas coś tam gotują, muszą przynosić swoje naczynia. (...) Przez pół roku szyłyśmy woreczki na przybory. Następne pół roku siedziałyśmy nad wyszywaniem trzech serwetek." ***Beata.***

„Rysunek techniczny wykonujemy 6 czy 7 lekcji, a przecież można szybciej." ***Renata***

Czasem praca jest źle dzielona:

„Pani K. jest wychowawczynią VIIa i one wciąż gotują, a my z VIIc tylko piszemy w zeszytach." ***Krystyna.***

Dużym zmartwieniem jest też zabieranie prac wykonawcom:

„Na zajęciach pieczemy różne wyroby cukiernicze, ale przeważnie nie są one przez nas konsumowane, bo zawsze znajdą się inni „odbiorcy". ***Uczennice kl. VII.***

„Prace wykonywane przez nas są zabierane i zamykane w szkolnej szafie, z której po krótkim czasie wszystko znika." ***Magda***

A szkoda, przecież własnoręcznie zrobiony przedmiot, czy samodzielnie przygotowana potrawa ma dla ich twórców największą wartość.

Zajęcia praktyczno-techniczne nie są przedmiotem łatwym. Przez 4 lata poznaje się na lekcjach wiele technik oraz wykorzystanie przeróżnych materiałów. Ale jak na żadnych innych zajęciach można stać się twórcą, projektantem, konstruktorem, zdobyć umiejętności, które przydadzą się w całym życiu.

Wiadomo – są trudności z materiałem, brak podręczników (jest tylko do klasy V – i już nie opłaca się w związku z przechodzeniem na program dziesięciolatki drukować nowych). Ale nawet z takimi trudnościami można sobie poradzić – świadczą o tym listy z wielu szkół, z których wynika, że zajęcia praktyczno-techniczne mogą być jednym z najciekawszych przedmiotów w szkole.

O wszystkich kłopotach i trudnościach, o których dowiedzieliśmy się z echosondy będziemy jeszcze w „Świecie Młodych" pisać. Dlatego namawiamy Was, byście nadal do nas pisali o tym, jak przebiegają zajęcia praktyczno-techniczne w Waszej szkole.

ANNA PACIOREK

Fot. **K. Adamowski**

i Zb. Bisanz

Międzynarodowa Sesja Naukowa w Warszawie

Pamięci ideom Janusza Korczaka

WARSZAWA (PAP). W tym roku obchodzimy 100 rocznicę urodzin wybitnego pedagoga i publicysty Janusza Korczaka. Rok ten, ogłoszony Rokiem Korczakowskim, jest piękną okazją do przypomnienia sylwetki tego wielkiego przyjaciela dzieci i jak najszerszego upowszechniania jego myśli pedagogicznych i dorobku literackiego.

Jedną z największych i najważniejszych imprez Roku Korczakowskiego, obchodzonego pod egidą UNESCO, była Międzynarodowa Sesja Naukowa „Janusz Korczak – życie i dzieło", w której uczestniczyli wybitni pedagodzy, naukowcy, twórcy, politycy, działacze społeczni z wielu krajów, a także przedstawiciele Krajowych Komitetów Korczakowskich oraz byli współpracownicy Starego Doktora.

Do uczestników sesji wystosował list I sekretarz KC PZPR Edward Gierek. W liście tym Edward Gierek przekazał pozdrowienia i wyrazy szacunku i wdzięczności inicjatorom, organizatorom i uczestnikom sympozjum. I sekretarz podkreślił, jak duże znaczenie dla kształtowania stosunków między ludźmi – w duchu braterstwa, wzajemnego zrozumienia i poszanowania, przyjaźni i współpracy – może mieć propagowanie myśli Janusza Korczaka. Wyraził poparcie dla wysuniętej niedawno propozycji uczczenia pamięci Janusza Korczaka przez utworzenie instytutu jego imienia, który ma być nowoczesną placówką naukowo-badawczą i wychowawczą. **(mi)**

ZWYKŁE ŻYCIE DRUŻYNOWEJ

Przedstawiamy Wam dzisiaj Martę, jej kłopoty i zmartwienia związane z prowadzeniem drużyny harcerskiej. Na pewno z podobnymi problemami w swojej pracy stykają się także zastępowi. A może właśnie ktoś z Was znalazł już „złoty środek", który potrafi pogodzić rzeczy zdawałoby się nie do pogodzenia. Czekamy na Wasze listy.

Zwykle się mówi, że o tym czy drużyna jest dobra czy zła w większości decyduje drużynowy. To on nadaje tak zwany ton i wytwarza atmosferę. Energiczny i pełen ciekawych, czasami nawet zwariowanych pomysłów drużynowy, to połowa sukcesu w pracy. Natomiast ta druga połowa zależy już od samych harcerzy – członków drużyny.

Marta ma siedemnaście lat. Jest uczennicą IV klasy Liceum Ogólnokształcącego. W tym roku zdaje na studia. Jej marzeniem jest pedagogika szkolna, bo jak sama twierdzi, bardzo lubi dzieci i pracę z nimi. Nawet teraz, kiedy nauki ma więcej niż zwykle, nie zrezygnowała z pracy w harcerstwie. Marta jest drużynową już od pięciu lat. Przez ten okres spotykała się z różnymi trudnościami.

— Kiedy zaczynałam, myślałam, że wszystko jest do załatwienia, że są to tylko drobne kłopoty, ale teraz coś przestało mi wychodzić. Może już nie potrafię tak jak dawniej zjednywać sobie innych? Nie wiem.

Zaczęło się wszystko od pierwszej zbiórki. Nie wiedziałam o tym, że bez nauczyciela, po południu właśnie do tej szkoły wstęp jest zabroniony. Woźna do szkoły nie wpuści i nie ma o czym dyskutować, ani prosić. *„Ciągle tylko hałasujecie* – powiedziała mi. *A ja mam już tego hałasu dosyć od rana."* Zdenerwowałam się wtedy, bo niby, gdzie mamy się spotykać i chyba jej trochę nawrzucałam. Miałam świetny pomysł na zbiórkę, a tu masz – ze zbiórki nici! Ale potem się zastanowiłam. Ona mogła mieć rację. Mieszka w szkole i ciągłe krzyki w czasie przerw musiały ją męczyć. Więc po południu chciałaby trochę od nas odpocząć. Dlatego, kiedy pogoda była ładna spotykaliśmy się w parku albo na boisku. Czasami chodziliśmy do muzeum, zwiedzaliśmy nasze miasto, poznawaliśmy jego historię.

Potem przyszła jesień i zaczęło lać, no i już nie mieliśmy wyboru. Poszłam do dyrektora. Zgodził się, pod warunkiem, że będzie z nami ktoś z nauczycieli. Dobra jest – pomyślałam. Najważniejsze, że zbiórki jest gdzie robić. Jednocześnie nasunęła mi się refleksja, że dyrektor nie ufa ani nam – drużynowym, ani w ogóle harcerzom, i przykro mi się zrobiło. Próbowałam sobie tłumaczyć tę decyzję na sto różnych sposobów, że może kiedyś harcerze stłukli szybę, że zbili doniczkę z najpiękniejszą w szkole palmą, że... Ale w końcu wszystko to mogło równie dobrze zdarzyć się podczas przerwy i niekoniecznie sprawcami musieli być harcerze. Skąd więc ta podejrzliwość?

Panią opiekunkę przyjęliśmy jak najserdeczniej, zaprosiliśmy ją do wspólnej zabawy. Mogło być nam przecież bardzo fajnie, ale niestety, nie było. Nauczycielka wpadała na piętnaście minut i biegła zaraz do domu, a wraz z nią my. Przez miesiąc właściwie nic nie zrobiliśmy. Bo co to za zbiórki dwudziestominutowe, albo i krótsze. Byłam rozczarowana. Wiedziałam, że jak tak dalej pójdzie, cała nasza drużyna będzie istniała ale już tylko na papierku.

Wówczas przyszedł mi do głowy pomysł. Na jedną zbiórkę zaprosiliśmy panią woźną. Miałam w tym oczywiście swój ukryty cel. Woźna była osobą młodą i jak się później okazało, sympatyczną. Niech przyjdzie i zobaczy, co my robimy – pomyślałam. Że trochę hałasujemy, to też jest jakoś tam potrzebne. Z początku druhna woźna – tak, tak druhna, jest moją przyboczną – była nieufna. Patrzyła tylko czy podłóg nie zabłocimy, szyby nie stłuczemy itd. Takie zawodowe nawyki. Z czasem o tym zapomniała, aż w końcu poszła do dyrektora i powiedziała, że nikt już z nauczycieli przychodzić nie musi i że ona też jest teraz harcerzem, wszystko bierze na siebie. Dyrektor zrobił oczy, ale się zgodził. Podobno głową tylko pokręcił. Ale w końcu nie wiem czy zaufał harcerzom czy woźnej? Chyba jednak harcerzom, bo pani woźna jest też członkiem drużyny.

Albo inna sprawa. Kilka dni temu podszedł do mnie Jacek, bardzo miły blondynek i zakomunikował, że jest to jego ostatnia zbiórka. Nigdy więcej nie przyjdzie, bo tata się

CIĄG DALSZY NA STR. 4

REDAKCYJNA POCZTA

Wiem, jak się uczyć!

Pragnę włączyć się do dyskusji o tym, jak się uczyć. Dwa lata temu zupełnie się nad tym nie zastanawiałam i uczyłam się średnio. Teraz nie poświęcam więcej czasu na naukę niż wtedy, a choć klasa starsza i materiał trudniejszy, uczę się dobrze. Staram się uważać na lekcji (to naprawdę dużo daje). Po powrocie ze szkoły odpoczywam około dwóch godzin. Potem odrabiam wszystkie pisemne lekcje, które tego dnia zostały zadane. Zaczynam zawsze od przedmiotów najtrudniejszych. Kiedy nie jest się zmęczonym, wszystko idzie łatwiej. Przygotowania do zapowiedzianych klasówek nigdy nie zostawiam na ostatni dzień. Po skończeniu odrabiania pakuję teczkę. Bardzo lubię czytać i często sięgam po książki dotyczące biologii. To mi bardzo ułatwia przygotowanie do lekcji. Nauka wcale nie wypełnia mi całego dnia. Mam wiele koleżanek, uprawiam sport. Można nauczyć się sprawnie odrabiać lekcje!

Anna-Monika

Co ja mam zrobić?

Ostatnio moi rodzice sprzeczają się o byle co. Nigdy nie było tak, jak teraz. Czasem się o coś posprzeczali (bo chyba nie ma na świecie idealnej rodziny), ale zaraz przepraszali się i wszystko było dobrze. Teraz mama mówi, że w tym domu nie wytrzyma i się rozwiedzie, a tata dodaje, że może nareszcie będzie spokój. Chwilami jest zupełnie przytulnie i miło; wtedy sobie myślę, czy nie mogłoby tak być przez cały czas? Och, tak bardzo bym chciała! Przez rodziców stałam się mrukiem. Czuję się bardzo samotna i wstydzę się koleżanek. A najgorsze jest to, że nie mogę niczego zmienić, bo, ich zdaniem, jestem za mała. To naprawdę okropne! Dlaczego rodzice w ogóle o mnie nie myślą? Gdzie ja pójdę, gdy oni się rozwiodą?

„Czarnula"

Żeby teczka była lżejsza

Jestem dobrą uczennicą i dwója, którą dostałam z języka polskiego (mojego ulubionego przedmiotu) bardzo mnie zmartwiła. Otrzymałam ją za to, że nie przyniosłam na lekcje podręcznika gramatyki. Powiecie: „lenistwo", ale to nieprawda. Cały tydzień przerabialiśmy lekturę, a więc noszenie tego podręcznika nie miało sensu. Nauczycielka języka polskiego nie zapowiedziała zmiany tematu zajęć i nic nie wspomniała o lekcji gramatyki. Tego dnia mieliśmy siedem lekcji i w związku z tym byliśmy i tak obładowani jak przysłowiowe wielbłądy. Moja koleżanka z ławki książkę tę na lekcje przyniosła, a więc podręcznik praktycznie był i obie mogłyśmy z niego korzystać. Nauczycielka nie chciała słuchać żadnych tłumaczeń. Połowa klasy otrzymała wtedy dwóje. Jestem bardzo rozżalona.

„Gita" z VIII klasy

OD REDAKCJI: Zgadzamy się z Tobą „Gito": nauczycielka powinna zapowiedzieć zmianę tematu lekcji lub ustalić, który dzień tygodnia przeznaczony będzie na lekcje gramatyki. Radzimy Wam porozmawiać z wychowawcą klasy – może uda się wygospodarować trochę miejsca w jakiejś szkolnej szafie i będziecie mogli zostawiać w niej podręczniki, z których nie korzystacie w domu. (ds)

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

nie zgadza! Tata Jacka woli(by), żeby jego syn uczył się na zbiórce majsterkować i budować modele. W przyszłości bowiem musi zostać inżynierem, a u tych harcerzy niczego dobrego nie uczą. Chwytałam się różnych sposobów, żeby przekonać rodziców Jacka, że nie jest tak jak mówią. Zorganizowaliśmy wspólne ognisko, zaprosiliśmy ich do udziału w biegu sprawnościowym. Wydawało się, że nareszcie, że jeszcze jedna problem z głowy. Mówiłam nawet do Jacka, że teraz już wszystko będzie w porządku i nagle usłyszałam: *„Taka młoda i chce nasze dzieci wychowywać?"*

I co ja mam zrobić? Słone zadowolenie Jacka i jego uśmiech nie przemawia do rodziców. *„Z tych zbiórek nie ma żadnych korzyści – mówią. Lepiej już zapisać dziecko do kółka zainteresowań. Tam przynajmniej jest nauczyciel, no i stopień z jego przedmiotu może być lepszy"*. To prawda, my nie robimy tego, co kółka zainteresowań. W szkole jest kilka: biologiczne, fizyczne, recytatorskie i wydaje mi się, że każdy, kto chce, może do nich należeć. Przecież harcerstwo nie wyklucza należenia do tych kółek, tylko jak o tym przekonać rodziców? Bo ja z drużyny nie mogę zrobić kółka dramatycznego! W końcu jest nas trzydzieści osób. Trzydzieści różnych zainteresowań, więc jak połączyć wszystkie na jednej zbiórce? Czy jest ktoś w stanie podjąć się tego? Ja nie. Chociaż uczestniczyliśmy w pracy kółka fizycznego, biologicznego, modelarskiego. Wiedzą co się gdzie robi i kiedy i mogą tam zaglądać. Zresztą nawiązaliśmy współpracę z modelarzami i teatrzykiem kukiełkowym, chcemy zrobić przedstawienie dla maluchów z Domu Dziecka. Sam Jacek to zaproponował. Ale czy spodoba się taki pomysł jego rodzicom?

ZWYKŁE ŻYCIE DRUŻYNOWEJ

Ciężko jest pracować w tej mojej drużynie. Staram się zróżnicować nasze spotkania, tak żeby i dziewczęta i chłopcy coś w nich znaleźli dla siebie. Żeby dla wszystkich zbiórki były interesujące. Ja jestem sama, a ich trzydzieścioro i rzadko kto chce mi pomóc. Niby na wszystko się zgadzają, wykonują każde moje polecenie, ale czy naprawdę są zadowoleni? Minęło już kawał czasu jak jesteśmy razem, a od nich nigdy nie usłyszałam żadnej propozycji. Raz tylko Jacek zaproponował ten teatrzyk. Wszystkie zbiórki organizuję na wyczucie. Zastanawiam się jak zmusić drużynę, żeby była inicjatorem jakiegokolwiek pomysłu. Jestem od nich starsza, znam wiele ciekawych zabaw, mam jeszcze trochę pomysłów na zapas, ale zależy mi na tym, żeby drużyna to byli oni, a nie tylko ja. A tak jest w tej chwili. To fakt, walczę o pierwsze miejsce w szczepie, chcę, żebyśmy byli najlepsi i ciągle im coś podsuwam. Może robię błąd, bo oni są wciąż biernie uparci. A na pewno mają coś ciekawego, tylko dlaczego nie chcą o tym powiedzieć? Jak to od nich wyciągnąć? Sama nie wiem.

W ubiegłym tygodniu miałam bardzo ciężki okres w szkole. Klasówki, sprawdziany i na zbiórkę nie przygotowałam się. Idąc do nich nie wiedziałam, co będziemy robić. Godzina rozpoczęcia zbiórki zbliżała się, a w mojej głowie pustka. W pośpiechu układałam plan, aż w końcu dałam spokój. Nie, dzisiaj muszą sobie radzić sami. Może wreszcie dowiem się, co naprawdę chcieliby robić? Siedziałam z boku i czekałam. Pierwsza obraziła się Krysia, że jej pomysł nie przypadł do gustu koleżankom i od razu chciała iść do domu... A chłopcy po prostu pobili się o to, kto lepszy: Lubański czy Szarmach. Wtedy ja zaczęłam, że tak nie można, że drużyna jest przede wszystkim ich, że oni powinni itd. Powiedzieli, że takich pomysłów jak ja to oni nie mają i że dobrze jest jak jest. I to mnie załamało. Szukałam rady w kręgu.

– Złotego środka szukasz? Po co? Dyscyplina musi być, kochana – powiedzieli. Kto jest drużynową? Oni czy ty?

Może rzeczywiście jestem idealistką, bo ciągle szukam swojej metody jak pogodzić rzeczy nie do pogodzenia.

Notowała
DANUTA ZIELIŃSKA

Czwórboiści z dalekiej Azji

WU DIN WINH MIAŁ RACJĘ

W naszym czwórboju wystartowali cztery lata temu. Na stadionie Pionierskiej Republiki im Wilhelma Piecka w Werbellinsee (NRD), gdzie odbył się XVIII międzynarodowy finał, zdobyli 1960 pkt. i zajęli dziesiątą lokatę. W roku 1976 było już trochę lepiej: w Poznaniu osiągnęli 2005 pkt. Jednak na niedawno rozegranych zawodach w Sofii zaskoczyli wszystkich – zgromadzili aż 2624 pkt. Jeżeli tak dalej pójdzie, to wietnamscy lekkoatleci staną się wkrótce głównymi kandydatami do międzynarodowych trofeów.

Jak to się stało, że nasi przyjaciele z dalekiej Azji w niemal błyskawicznym tempie zrównali się czwórbojową czołówką? W czym tkwi źródło ich powodzeń? Czy zapoczątkowana przez „Świat Młodych" impreza cieszy się w Wietnamie powodzeniem? Na te i inne pytania odpowiada **Trung Uong Doan**, kierownik Wydziału Obronnego i Sportu Wietnamskiej Organizacji Pionierskiej im. Ho-Chi-Minha.

– Zaczynaliśmy bardzo skromnie. Jeszcze trzy lata temu do eliminacji pierwszego stopnia przystąpiło zaledwie 150 szkół. Po roku było ich dziesięciokrotnie więcej. A w ostatnich eliminacjach wystartowało już ponad 3 tysiące szkół, prawie pół miliona lekkoatletów. Również w Wietnamie stał się czwórbój najbardziej masową imprezą. Uważam, że właśnie w masowości należy dopatrywać się przyczyn progresu wyników na zawodach międzynarodowych.

– Jaki system eliminacyjny obowiązuje w Twoim kraju?

– Podobny jak w Polsce. Najpierw są mistrzostwa w szkołach, następnie w rejonach, dalej w prowincjach (coś w rodzaju naszych województw – przyp. zp). **Na zawody ogólnowietnamskie przyjeżdżają już tylko najlepsi. W tym roku mistrzami zostali sportowcy z Hai Hyng, miasta położonego na wschód od Hanoi. Oni właśnie startowali w Sofii.**

– Trener Wu Din Winh powiedział mi przed zawodami, że postara się o miłą niespodziankę. Czy chodziło mu tylko o wynik?

– Tak. Ale nawet on nie spodziewał się chyba równie doskonałego rezultatu. Przecież na finale krajowym osiągnął 2336 pkt. Na stadionie im. Lewskiego o prawie 300 pkt. więcej. Za ten wyczyn otrzymaliśmy specjalny puchar. Muszę jednak zdradzić, że do sukcesu przyczyniły się także doskonałe urządzenia sportowe sofijskiego stadionu. Jednak sam zdumiony jestem ilością życiowych rekordów w naszej drużynie. Np. w skoku wzwyż pobili je wszyscy lekkoatleci. Podobnie było w rzutach. Świadczy to o dobrym przygotowaniu do międzynarodowego startu i pełnej mobilizacji psychicznej każdego zawodnika.

– Uplasowaliście się tuż za Polską. 64 pkt. straty to bardzo mało. Za rok może być odwrotna kolejność...

– Byłbyśmy jeszcze szczęśliwsi. Wygrać z drużyną, której kraj jest inicjatorem czwórboju to jest spory sukces...

– Czy nie uważasz, że coś można w czwórboju zmienić, ulepszyć?

– Jest tak przemyślany, że zawody można rozgrywać wszędzie i w różnych warunkach. A przecież nie każda szkoła posiada piękny i bogato wyposażony stadion. Właśnie to trzeba mieć na uwadze, mówiąc o ewentualnych zmianach. Korzystając z okazji chciałbym pogratulować redakcji „Świata Młodych" za cenną inicjatywę i patronowanie czwórbojowi.

– Dziękuję i życzę wietnamskim zawodnikom jeszcze większych osiągnięć. Aż do olimpijskich medali włącznie...

Rozmawiał **Z. PRZYBYŁOWSKI**
Fot. autora

Łany zboża na pustyni Papier zamiast... gleby

SZWECJA (PAP). Wyprodukowano tu nowy rodzaj papieru, który znajdzie zastosowanie w rolnictwie. Produkt o nazwie „agripaper" wykonano przetwarzając specjalnymi metodami torf. Nowy papier zastąpi glebę na obszarach pustynnych. Jego arkusze rozścieli się na podłożu i obsieje ziarnem. Dzięki właściwościom papieru torfowego nasiona łatwo kiełkują i wymagają o połowę mniej wody niż zwykle. W krajach Bliskiego Wschodu przeprowadzono już pierwsze badania polowe tej zastępczej gleby. Rezultaty były na tyle interesujące, że można się spodziewać uruchomienia produkcji „agripaperu" w 1979 r. **(mat)**

Miliony ton ropy w morzach i oceanach

MEKSYK (PAP). Stwierdzono, że do mórz i oceanów spływa każdego roku około 5–10 mln ton ropy naftowej i jej pochodnych. Rzecz oczywista, że te ścieki powodują znaczne zanieczyszczenia wód i naruszenie równowagi biologicznej. Skąd tyle ropy w wodach morskich? Jest to rezultat czyszczenia zbiorników w tankowcach i portach, efekt wypływu ropy z szybów podczas eksploatacji złóż pod dnem morskim oraz następstwo katastrof statków przewożących ropę naftową. Nie bez wpływu pozostaje też fakt wylewania do rzek ścieków przemysłowych i miejskich. Uczeni meksykańscy, którzy zajęli się – nie jedyni zresztą – tym problemem, postulują rozpoczęcie intensywnych badań nad wpływem zanieczyszczeń na przybrzeżną florę i faunę. **(ag)**

„Apetyty" bakterii niebezpieczne dla podziemnych instalacji

MOSKWA (PAP). Radzieccy uczeni ustalili, że przed układaniem pod ziemią instalacji, rur, przewodów itp. należy dokonać analizy mikrobiologicznej gleby. Dlaczego? Otóż okazuje się, że w glebie znajdują się takie rodzaje bakterii, które czynią znaczne szkody, niszcząc izolację przewodów oraz ochronną farbę. Uczeni z Moskwy wydzielili z próbek ziemi pobranej w pobliżu zniszczonych instalacji kilka rodzajów takich „niszczycielskich" mikroorganizmów. Obecnie prowadzone są prace nad znalezieniem środków, które neutralizowałyby szkodliwą działalność owych bakterii. **(ag)**

MIGAWKI EGZOTYCZNE

W kraju reniferów i soboli

„Ewenek bez renifera, to tak jak głuszec bez skrzydeł" – tak mówi syberyjskie przysłowie. Rzeczywiście, jeszcze do niedawna renifer był jedynym żywicielem tego ludu. Jego skóra służyła jako odzież i budulec do wznoszenia lekkich, przenośnych chat (jurt). Jednocześnie jeleń północy spełniał rolę jedynego środka transportu – przenosił ładunki, był wierzchowcem.

Naukowcy określając cechy reniferów mówią o nich: *„zwierzę to daje mleko i mięso krowy, ma siłę konia, skórę barana oraz wytrzymałość wielbłąda."*

Dzisiaj wyżywienie, ubranie i transport Ewenków nie zależy już wyłącznie od jelenia północy. Ale nadal właśnie to zwierzę jest najważniejsze dla syberyjskich hodowców – jest ono bowiem jedynym, które może żyć w trudnych klimatycznie warunkach. Wypas reniferów to zajęcie tylko dla odważnych, wytrzymałych mężczyzn. Oto jak opowiada o tym zajęciu jeden z nich – Nikołaj Kaplina.

Z czterema kolegami opiekuję się stadem liczącym 1050 sztuk. Nie jest to zajęcie łatwe. W okolicy są również dzikie renifary. Dołączają one do stada i później próbują pociągnąć za sobą na wolność nasze jelenie. Ale największym niebezpieczeństwem są wilki. Praktycznie dzień i noc musimy strzec stada. Szczególnie czujni musimy być w zimie, kiedy wilki są najgroźniejsze, najbardziej zgłodniałe.

Domem pastuchów są jurty z jelenich skór i coraz częściej brezentowe namioty. W ich wnętrzu futra i piecyki zapewniają odpowiednią temperaturę, mimo że na zewnątrz panuje ostra syberyjska zima. Oprócz hodowli reniferów drugim zajęciem Ewenków jest myślistwo. Futra zwierząt – upolowanych w autonomicznym Kraju Ewenków – sprzedawane są za granicą. Najcenniejsze z nich to oczywiście futra sobole. Obecnie uzyskuje się tu ich znacznie więcej niż na początku naszego wieku. Zdecydowała o tym planowa gospodarka w myślistwie. Ochrona zwierząt futerkowych w okresie ich rozmnażania, dbałość o środowisko naturalne – sprawia, że obecnie w kraju Ewenków żyje więcej soboli niż przed laty.

Obok dwóch tradycyjnych zajęć: hodowcy i myśliwego coraz większa liczba Ewenków zdobywa nowy zawód. Na początku najliczniejszą grupę stanowili nauczyciele (obecnie jest ich tu 450, z czego przeszło 200 to Ewenkowie) oraz lekarze. Te dwa zawody były najbardziej potrzebne wśród ludu dalekiej północy. Obecnie wraz ze zwalczaniem analfabetyzmu i chorób przyszła kolej na inne zawody.

Autonomiczny Kraj Ewenków jest zasobny w liczne surowce mineralne. Ropa naftowa, gaz ziemny, grafit – oto największe bogactwa tej ziemi. Aby móc je eksploatować, potrzebni są specjaliści z wykształceniem technicznym – inżynierowie, technicy, wykwalifikowani robotnicy umiejący obsługiwać skomplikowany sprzęt wydobywczy. Coraz więcej młodych Ewenków podejmuje naukę w tych zawodach. Geolog, budowlany, górnik, mechanik spawacz to profesje, które coraz częściej stają się źródłem utrzymania ludu dalekiej północy.

Opr. **A. W.**
Fot. **archiwum**

Odzież z pięknie malowanych skór reniferów już coraz rzadziej noszona jest przez Ewenków

Życie Nikołaja Kaplina od lat związane jest z wypasaniem stad reniferów

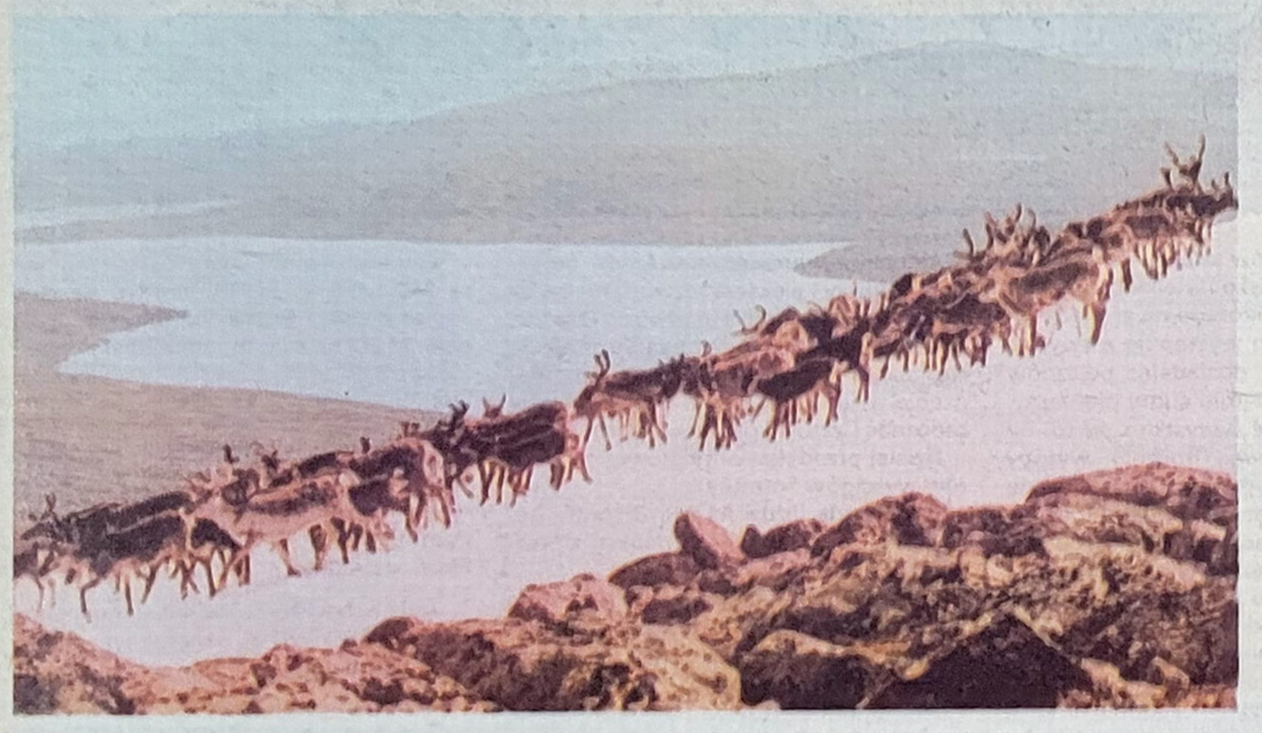

Stada reniferów są nadal podstawą utrzymania dla wielu mieszkańców dalekiej północy

AUTONOMICZNY KRAJ EWENKÓW

Obszar – 768 tys. kilometrów kwadratowych (dwa i pół raza więcej niż Polska), ludność – niespełna 15 tysięcy, na jednego człowieka przypada blisko 52 km kwadratowe, stolica – Tura, główna rzeka Dolna Tunguzka, bogactwa mineralne: ropa naftowa, gaz ziemny, grafit; hodowla reniferów, myślistwo.

W pracach geologicznych coraz większy udział biorą wykwalifikowani Ewenkowie

„11,40 GMT NEW – PORT „PIERWSZA MYŚL" (7)

Tak powstał zamysł własnego udziału w następnych regatach „Ostar-76" na nowym, zupełnie innym jachcie, jachcie takim, który będzie miał szanse zwycięstwa. Dlaczego dopiero tu, w Lymington? Może spowodowała to jakaś trudna do opisania atmosfera przygotowań wielu jachtów, czających się tu, do bliskiego już startu w regatach, sceneria setek jachtów stojących w Marinie, „koncertu na aluminiowe maszty", o które uderzające na wietrze stalowe fały wydają ciche, metaliczne dźwięki?

Nie miałem dotąd lepszej okazji, zajęty od rana do nocy pracami projektowymi i budową równocześnie dwóch jachtów – „Poloneza" i „Ogara". Nie pomyślałem o tym nawet w czasie beztroskiego rejsu „Polonezem" ze Szczecina do Anglii, który dał mi jednak przedsmak samotnej żeglugi.

Wypływaliśmy we dwójkę z Krzysztofem, jak sobie to później wyjaśniliśmy, obaj pełni obaw, ja – czy potrafię po 12 latach dowodzenia z powrotem być załogą, Krzysztof – czy będzie umiał być zwierzchnikiem starszego od siebie wiekiem i stażem kapitańskim żeglarza. Nadmiar kapitańskich patentów na jednym jachcie nie przeszkodził nam zupełnie w dopłynięciu do Plymouth cało, bez mielizn, błądzenia i bez zgrzytów między sobą. Wszelkie obawy rozwiane zostały jeszcze przed wyjściem z główek falochronów Świnoujścia, co nastąpiło w pierwszych dniach maja 1972 r.

Sprawy kambuzowe rozwiązane zostały bardzo prosto. Krzysztof zapytany przeze mnie, na długo jeszcze przed rejsem, co bardziej lubi – gotować czy zmywać, odparł, że jeśli musi wybierać to z dwojga złego woli gotowanie. Ponieważ moje kulinarne kwalifikacje ograniczają się do parzenia herbaty, stanęło na tym, że wszystkie czynności przedposiłkowe załatwia Krzysztof, a ja wkraczam do akcji po zjedzeniu, czyli on gotuje, ja zmywam. Podział sprawiedliwy i, co ważniejsze, dający gwarancję przeżycia. Równie prosto podzielona została doba, na wachty 6-godzinne. Krzysztofa od 6,00 do 12,00 i 18, 00 do 24,00, moje w pozostałych.

Wachty dzienne były w zasadzie wspólne, wypełnione pracami pokładowymi, klarowaniem, kalibracjami, regulacjami i innymi podobnymi zajęciami, w nocy natomiast każdy z nas działał samodzielnie, łącznie z manewrowaniem, stawianiem i zrzucaniem żagli, oraz wszelką inną marynarską robotą. Bez żadnej umowy, każdy z nas przestrzegał zasady, że nie ściąga drugiego z koi nawet jeśli natrafia na kłopoty. Było w tym chyba coś z ambicji, aby wykazać się męstwem i zaradnością, co wcale nie oznacza, że było to takie najmądrzejsze.

Już na Morzu Północnym, przy silnym wschodnim wietrze, kiedy „Polonez" pod kompletem żagli gnał w stronę Anglii, poszedłem na dziób, aby założyć bom spinakera i podeprzeć nim niespokojnego kliwra. Trzymając w rękach ciężki bom spinakera, stojąc przy tym na rozkiwanym, mokrym pokładzie, pomyślałem, że jeden mały błąd w działaniu i mogę się znaleźć za burtą. I najgłośniejszy nawet wrzask, na jaki zdobyć się mógłby człowiek wobec śmiertelnego zagrożenia nie jest w stanie dotrzeć do Krzysztofa, śpiącego snem twardym we wnętrzu pełnym najprzeróżniejszych hałasów, odgłosów szybkiej żeglugi na dużej fali. Można oczywiście i trzeba stosować w takich przypadkach pas bezpieczeństwa; to wyjście proste i mądre. Jest to przy tym teoria, a w praktyce pas przeszkadza, krępuje ruchy, plącze się pod nogami, toteż trzeba mieć charakter, by pozbyć się do niego niechęci, przyswoić sobie nawyk stosowania. Miałem 4 lata później okazję do dużej emocji, właśnie z braku tego charakteru, za co omal nie zapłaciłem najwyższej ceny.

Przez Kanał Kiloński, Helgoland i Morze Północne zawiózł nas „Polonez" do Cowes na wyspie Wight, następnie do Lymington, Portsmouth i wreszcie do Plymouth. Zawiózł, gdyż znakomitą większość drogi wyręczał nas w sterowaniu tandem „Wicek-Wacek", czyli nazwany tak przez Krzysztofa samoster „Aries". Czasami wykonywał on samodzielne zwroty, przeważnie przez sztag. To zmyślne urządzenie jest bowiem wrażliwe nie tylko na zmiany kierunku, ale również na zmiany prędkości wiatru i wymaga przez to częstej regulacji. Prócz tego, w przeciwieństwie do żywego sternika, który może uprzedzać impulsy odchylające jacht od kursu i prowadzić go prawidłowo, szybko przez fale – samoster reaguje dopiero wtedy, gdy zejście z kursu już nastąpi. Ponadto zanurzony w wodzie statecznik – coś w rodzaju wioselka, którego ruch wahadłowy przekazywany jest linkami na rumpel steru, działa wolno, z opóźnieniem, najpierw pokonując luzy na łożyskach, przegubach i linkach, reagując przy tym także na uderzenia fali i kołysania jachtu. Wszystko to sprawia, że samoster zastępuje sternika w sposób daleki od doskonałości. Mimo tych wad urządzenie to jest dla żeglugi samotnej nieodzowne, a nam w tym rejsie ułatwiło życie i dało okazję do zdobycia koniecznych doświadczeń w pokonywaniu jego grymasów i także pewnych prawideł jakie w jego działaniu występują.

W Plymouth zastaliśmy jeszcze pustki, jeśli nie liczyć „Trumpetera" amerykańskiego trimarana. Jego właściciel Philip Weld, uroczy, pełen optymizmu i energii starszy pan, przywitał nas jak starych przyjaciół. Przyglądałem się temu cudacznemu pojazdowi z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony wiele ciekawych, nowoczesnych rozwiązań, praktycznych i funkcjonalnych, z drugiej strony brak w tym rozkraczonym, srebrnym pająku wdzięku, piękna i harmonii w kształtach i ruchach normalnego, jednokadłubowego jachtu z wysokim, smukłym ożaglowaniem. Wielokadłubowcom wróży się przyszłość, ale na razie są to wehikuły niebezpieczne i nieładne, choć trzeba przyznać, że utalentowani architekci potrafią łączyć dziś funkcję z estetyką. Musiałem już wracać do kraju. Czekał mnie sezon regat, a Krzysztof, żeglarz niezwykle zaradny i przewidujący, pewnie już chciał zostać sam, by przyzwyczaić się do samotności, jaka go czekała. „Polonez" był już prawie gotów do stawienia czoła Atlantykowi, a jak się później okazało, przeszedł zwycięsko najtrudniejszą próbę, pokonując wokółziemską trasę śladami Chichestera i Aleca Rose. Rozstaliśmy się w Londynie krótko i po męsku.

– Co tu dużo gadać, Stary, trzymaj się.

– Cześć, powodzenia.

c.d.n.

KAZIMIERZ JAWORSKI
Fot. **S. Rakowski**

MAŁY SŁOWNIK ŻEGLARSKI

„Ostar-76" – Regaty Samotnych Żeglarzy przez Atlantyk. Litery są skrótem nazwy tych regat w języku angielskim. 76 – oznacza rok.

Kalibracja – polega na redukowaniu odchyleń w działalności niektórych urządzeń, w tym wypadku nawigacyjnych.

Bom – drzewce poziome, jednym końcem umocowane przegubowo do masztu, służące do przymocowania dolnego liku – (dolnego brzegu) żagla skośnego.

Spinaker – żagiel dodatkowy, wykonany z cienkiej a mocnej tkaniny. Posiada dużą płaszczyznę i duże wybrzuszenie. Żartobliwie nazywany balonem.

Kliwer – żagiel przedni, podnoszony na jednym ze sztagów czyli na stalowej linie (drugi żagiel od masztu w stronę dziobu).

Trimaran – jacht trzykadłubowy

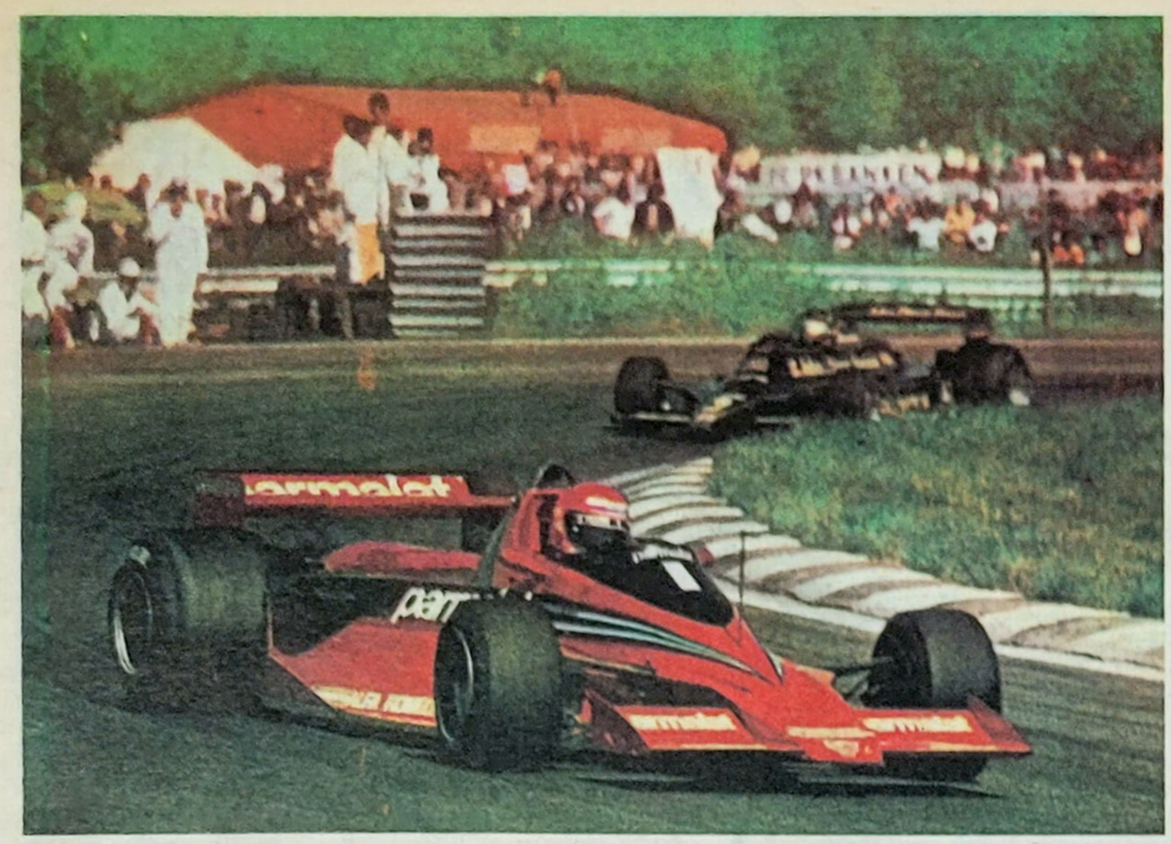

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

FORMUŁA I

WIELKI CYRK

Od chwili, gdy nasza telewizja zaczęła przekazywać sprawozdania z wyścigów samochodów Formuły I, zainteresowanie tą dyscypliną w naszym kraju znacznie wzrosło. Przejawem tego wzrostu zainteresowania jest również większa ilość korespondencji od Was. Stąd dziś poświęcamy tym samochodom całą stronę.

Wielu znawców skłania się nazywać to widowisko wielkim cyrkiem, w ramach którego na arenach-torach wyścigowych występują zazwyczaj te same gwiazdy, dosiadając pojazdów kosztujących olbrzymie sumy pieniędzy. Robi się to przede wszystkim po to, by reklamować różnego rodzaju wyroby w większości przypadków nie związane z motoryzacją. Dlatego też kombinezony zawodników i nadwozia samochodów upstrzone są różnorodnymi znakami firmowymi. Zarówno zawodnicy jak i menażerowie samochodowych „stajni wyścigowych" każą sobie za to słono płacić...

Poza szaleńczymi gonitwami, które mają widzom dostarczyć niezbędnej emocji, niekiedy i bardzo dramatycznej, gdyż zdarza się, że na torach giną kierowcy, a nawet i widzowie, wypróbowuje się również nowe rozwiązania konstrukcyjne. Rozwiązania te później przenoszone są także do konstrukcji samochodów użytkowych.

Aktualnie wprowadzane są do pojazdów formuły I ciekawe rozwiązania związane z aerodynamiką nadwozi. Poprzez odpowiednie ich ukształtowanie uzyskuje się lepszą przyczepność i lepsze prowadzenie pojazdu, lecz z tym postaram się zapoznać Czytelników innym razem.

Dzisiaj przedstawiamy głównych aktorów wyścigów Formuły I.

Niki Lauda jeździ na BRABHAMIE-ALFA-46/6, oznaczonej numerem startowym 1.

Numerami startowymi 3 i 4 oznaczone są TYRRELLE-FORDY. **Patrik Depailler** startuje na typie 008/3 oznaczonym numerem startowym 4.

Numerami startowymi 5 i 6 oznaczone są JPS LOTUSY-FORD. Na JPS LOTUS-FORD 79/1 jeździ **Mario Andretti,** na JPS LOTUS-FORD 79/20 jeździł **Ronnie Peterson,** który uległ śmiertelnemu wypadkowi na torze. Monza. Samochód Petersona był oznaczony numerem 6.

Numerami startowymi 7 i 8 oznaczone są MC LARENY-FORD, startują na nich **James Hunt** i **Patrik Tambay**. Hunt na typie M 26/3 oznaczonym numerem startowym 7.

Z numerem startowym 14 jeździ **Emerson Fittipaldi** na samochodzie COPERSUCAR-FORD F 5 A/2.

Na RENAULT-ELF RS-01/3 oznaczonym numerem startowym 15 jeździ **Jean Pierre Jabouille.**

Jody Scheckter jeździ na samochodzie WOLF-FORD WR 5, oznaczonym numerem startowym 20.

Numerami startowymi 35 i 36 oznaczone są samochody ARROWS-FORD; na typie tego samochodu oznaczonym symbolami FA 1/3 z numerem startowym 35 startuje **Riccardo Patrese.**

ZENON DUTKIEWICZ

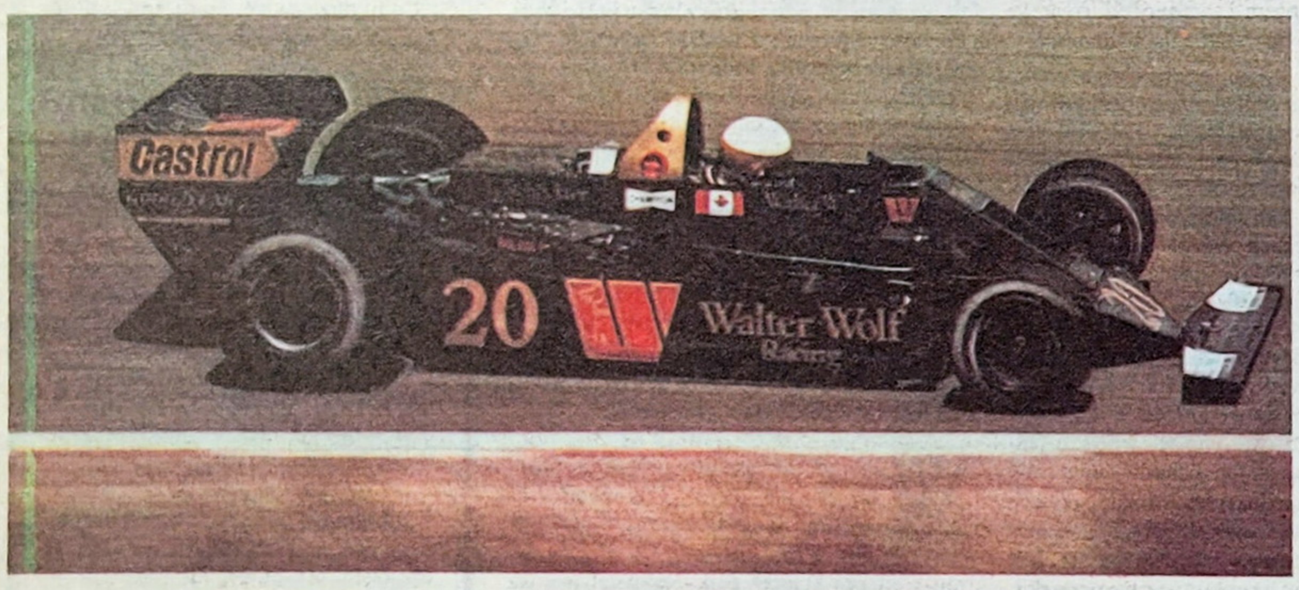

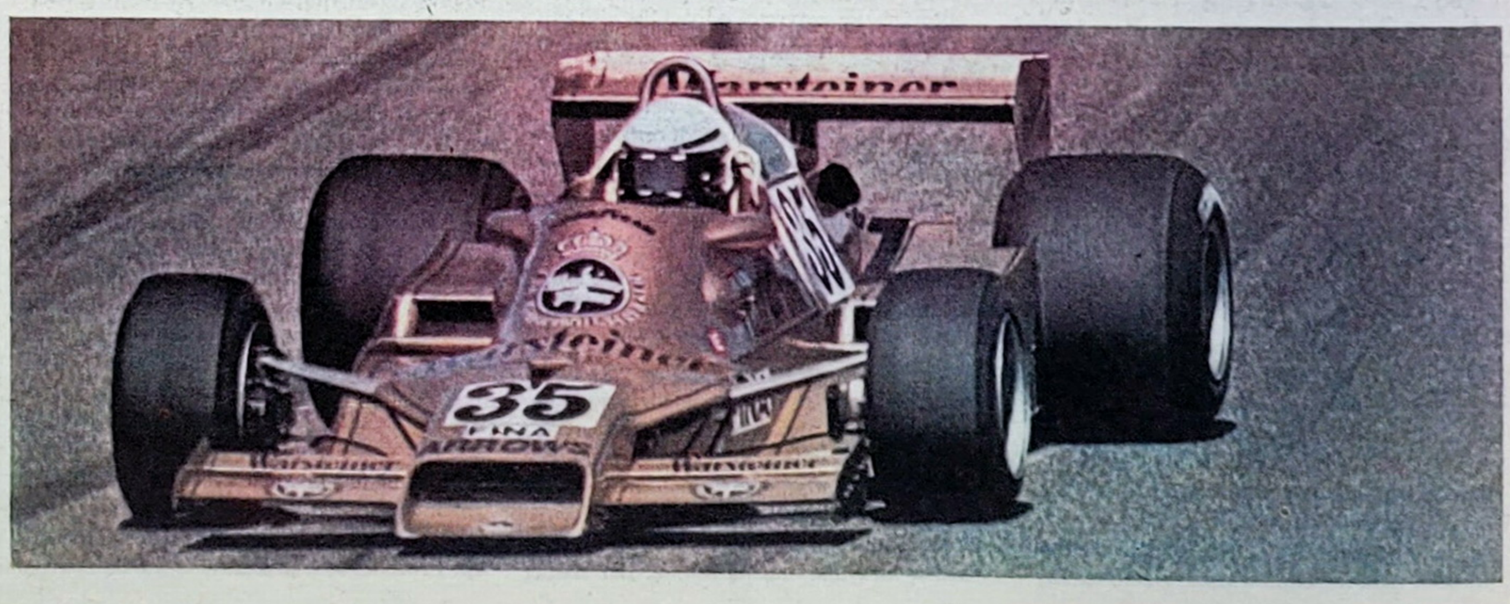

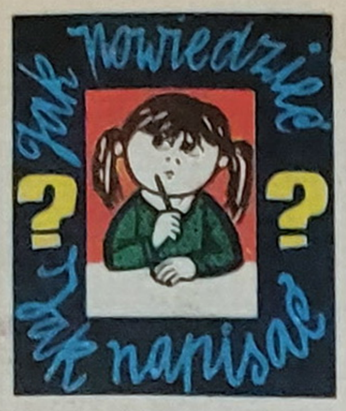

Droga Kropko! W książce Juliusza Verne… no właśnie, Verne czy Verne'a? Otóż w tej książce w rozdziale 15 spotkałem się ze zwrotem: „o pół do dziewiątej staną panowie przed sędzią…" Natomiast pół strony dalej (odnośnie tej samej godziny i wydarzenia): „o wpół do dziewiątej otworzyły się drzwi, zjawił się policjant…" który z tych zwrotów jest prawidłowy? Mówimy: o pół do dziewiątej czy o wpół do dziewiątej? Sprawa druga: zwrot „mieć czelność" oznacza mieć bardzo duży tupet. „Bezczelny" oznacza to samo. Dlaczego? Przecież składa się bez + czelny. Czelny oznacza kogoś, kto ma czelność, a cząstka „bez" sugeruje, że jest czegoś pozbawiony. Czy więc „bezczelny" nie jest dziwolągiem językowym?

„Japan" z Nowej Huty

1) Książka **Juliusza Verne'a,** a nie Vernego – jak często daje się słyszeć. Wymowa: M. Vern. D – Verna. 2) Można powiedzieć **o pół** do dziewiątej i **o wpół** do dziewiątej. Tłumacz chciał udowodnić na tej samej stronie, że zna obie wersje. 3) Masz rację sądząc, że **bezczelny** to taki, który jest czelności pozbawiony, jest przecież sporo wyrazów zbudowanych na tej samej zasadzie. Np. bezwstydny to człowiek pozbawiony wstydu, bezwonny – pozbawiony jest zapachu, beznadziejny – wszelkiej nadziei. Cóż to jest jednak ta czelność, której nie ma bezczelny osobnik? Początkowo znaczyła ona tyle samo, co honor, ambicja. Aleksander Brückner w „Słowniku entymologicznym" wywodzi ten wyraz od… czoła. To zaskakujące powiązanie łatwo będzie zrozumieć, gdy przypomnimy sobie taki zwrot, jak np.: „stanąć przed kimś z podniesionym czołem", co znaczy: spojrzeć komuś w oczy z odwagą ludzi uczciwych, ludzi honoru. „Kto czoła nie ma, niech świeci oczyma" – pisze Franciszek Zabłocki w „Sarmetyzmie." Słowa te można by dziś tak przetłumaczyć: kto postępuje jak człowiek bez czci, bez honoru, niech się później naje wstydu.

Wszystko logiczne, prawda? Stało się jednak rzeczywiście coś bardzo dziwnego, bo czelność zaczęła być synonimem bezczelności, a o człowieku bezczelnym można było powiedzieć, że jest czelny. Na szczęście w ostatnich latach czelność i czelny wychodzą już z użycia. Czasami tylko słyszymy, jak ktoś głosem pełnym oburzenia mówi do kogoś, kto postąpił paskudnie: „Po tym, co zrobiłeś, masz teraz czelność przyjść do mnie i…" Czy istotnie czelność oznacza w tym wypadku – jak ty sugerujesz – bardzo duży tupet? Chyba nie. Ja bym nawiązała do dawnego znaczenia i przetłumaczyła to zdanie tak: masz odwagę tu przyjść, honor (ambicja) ci na to pozwala… No i trzeba by teraz – na znak świętego oburzenia – postawić kilka wykrzykników wymieszanych ze znakami zapytania, o tak: !!!??!!? Łatwiej to napisać, niż przeczytać, więc między innymi i z tego powodu życzę ci, abyś nigdy nie musiał wypowiadać tych słów, a tym bardziej słyszeć ich pod swoim adresem.

Napisz jeszcze i przy okazji zdradź, skąd się wziął Twój pseudonim.

KROPKA

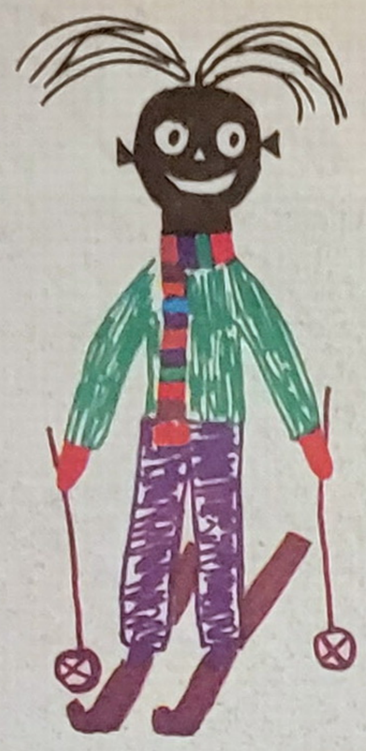

Autorką mego Portretu Tygodnia jest Gabriela Puchniak.

Redaguje
Włodzimierz Lewiński

Cześć! Napisała do mnie „*Odkochana*". Oto fragmenty jej listu:

…moim ideałem był Seweryn Krajewski. Po pewnym czasie doszłam do wniosku, że taka „gęsia" miłość jest pozbawiona sensu. Dziewczyny, które zakochują się w aktorze, widzą go tylko w filmie lub na scenie, kiedy gra. Nie znają go naprawdę, więc cała zabawa jest po prostu fikcją.

… „Wielbicielki", potrząśnijcie swymi rozmarzonymi główkami i pomyślcie, czy warto zaprzątać sobie myśli takimi bzdurami?

★

Kwituję odbiór należnej mi reszty 866 całusów (zaliczkę – 143 całusy otrzymałem wcześniej) od Anki Smułek. Rzep

★

GEORYMY

- **W Belgradzie siedzą muchy na naradzie.**
- **Na stadionach Argentyny nadszedł zmierzch naszej drużyny.**

Piotr Rychlicki

★

W i W

Muszę się pochwalić listem, który noszę w kieszonce z lewej strony (na sercu). Oto fragmenty:

Kochany Rzepie, Kocham się w Alain'ie Delonie i w … Tobie! Spotykam Cię co czwartek w „ŚM" i chciałabym otrzymać jakiś znak od Ciebie!… Ty mieszkasz w stolicy, a ja w małej mieścinie, jesteś przystojny, a ja – mała i piegowata… zatrzymaj ten list na pamiątkę. Kocham Cię!!! Pieguska

Kochana Piegusko! Nie jestem wcale przystojny, mam włosy jak szczotka kominiarska i też jestem mały. Nie wiem nawet, czy mam piegi, czy nie, bo jestem przecież czarny. Doprawdy nie wiem, co Ci się we mnie podoba. Twój list uświadomił mi jak przyjemnie być obiektem uwielbienia (nawet w 50%). Wyobrażam sobie jak wspaniale czuje się pan Seweryn Krajewski, którego wielbią tysiące dziewcząt! Zajęłaś najcieplejszy kącik w moim sercu!

Rzep

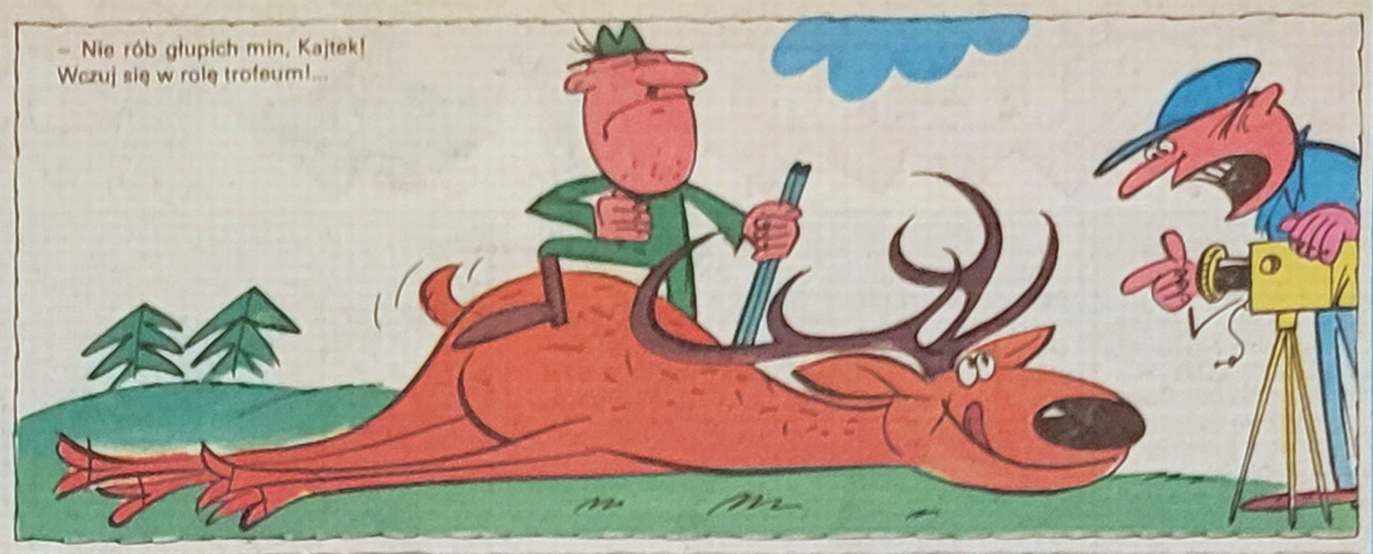

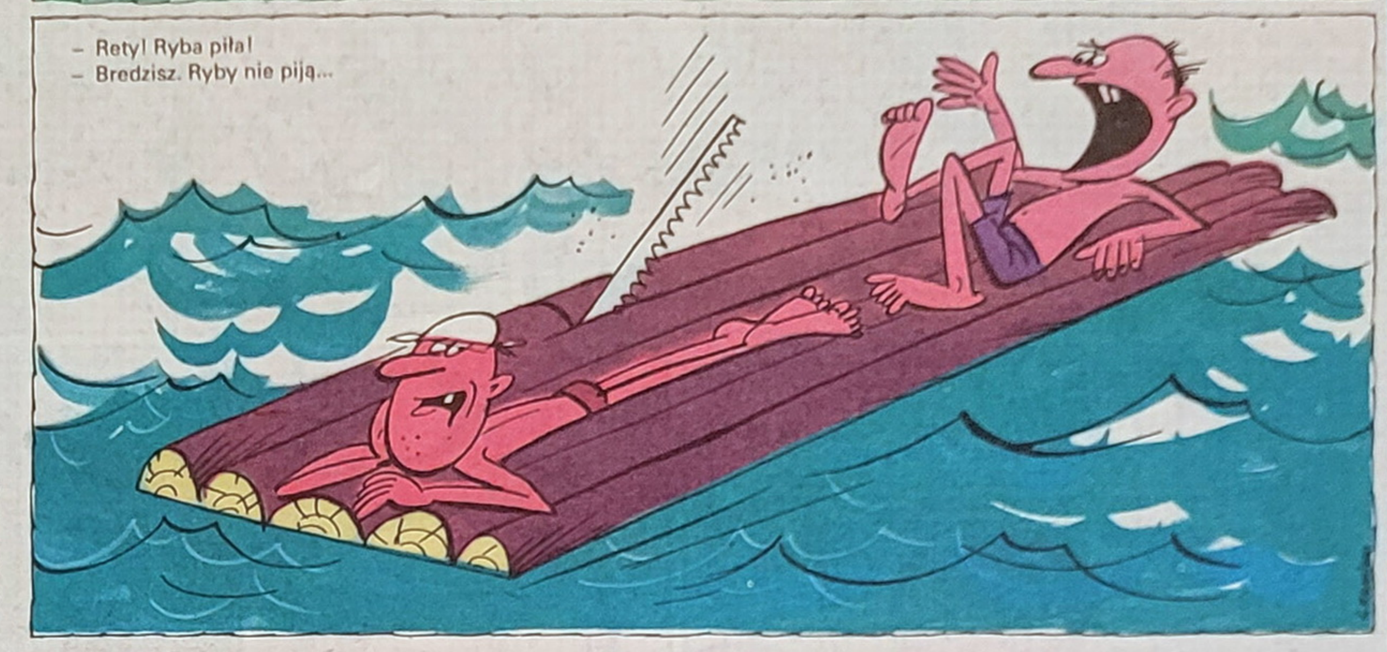

Jestem pierwszym chłopakiem, który chce podzielić się informacjami o Ch. Normanie, Niemenie, Apostolisie i Russosie. Moją „idolką" jest Helena Vondraczkova.

Janusz Antys Szarek
38-407 Bratkówka 82

★

Wielbicielki Krzysztofa Krawczyka, piszcie na adres:

Grażyna Cioruń
ul. Wojska Polskiego 18/5
63-900 Rawicz

Mogę być biurem informacji o drużynach: Ajax-Amsterdam i Manchester United F. C. Czekam na listy.

Bogdan Chybicki
ul. Kościuszki 11
44-351 Turza Śl.

★

„P–P" POMOC – PRZYJACIOŁOM

W zeszłym tygodniu wznowiliśmy akcję „P–P". Przygotowałem w moim biurku szufladę na Wasze listy. Namalowaliśmy na niej serduszko z literkami P–P. Piszcie!

Do zobaczenia!
Wasz **Rzep**

PS. Podaję pewien adres:
ZSRR, Wilnius, ul. Żwaigżdžiu 14-94, Małgorzata Zubaczyk. Napiszcie do Małgosi.

RZEPKLUB

Dziś wpisuję na listę klubu Beatę Jabłkiewicz. Obok – nadesłany przez nią żart rysunkowy.

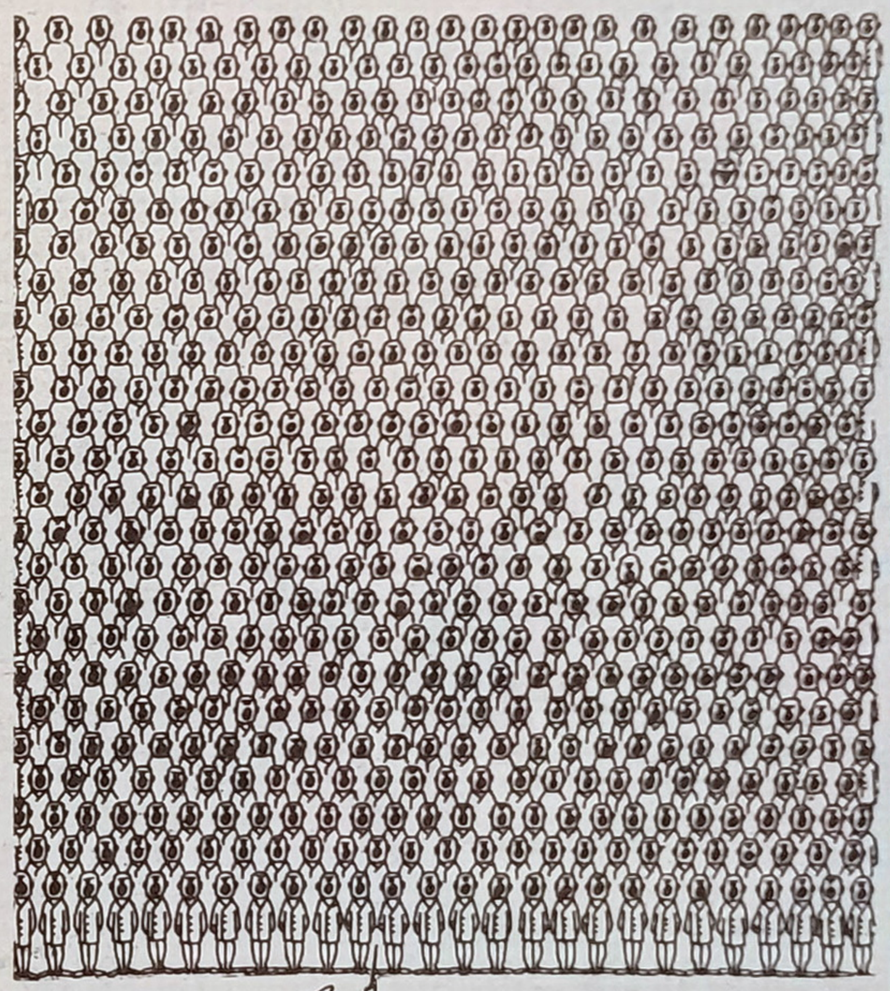

— Szósty z prawej w dwudziestym pierwszym rzędzie. Wy znowu fałszujecie!

jakaś płotka do malowania. Ale oni czekają na grubszą rybę. Może przyjdzie nadziany forsą marchand i zrobi propozycję. Że niby widzi talent i ma życzenie postawić na ciebie jak na konia wyścigowego. Czasem przydarzy się wielka wygrana…

Nagle przystanął pokazując palcem na ogromnego brodacza, który rysował portret jakiejś młodej damy.

– Zobaczcie! Bon Dieu, co za widowisko! – zawołał zachwycony. – Zbój i królewna, jak w bajce. Można by to wymalować… nieprawdaż? Na pewno Włoszka. A mamuńcia, widzicie? Stoi obok jak konstabl na warcie i pilnie śledzi pracę obdartusa. Biedak, jak może, tak upiększa swoje arcydzieło. Ale podobieństwo uchwycił. I niebrzydka jest ta mała, co? No i portret gotowy. Teraz płacić, płacić mamusia!

– Brawo, bravissimo! E cośi perfetto. Molto grazie – zaterkotała dama wręczając malarzowi dwudziestofrankówkę.

Beniamin odwrócił się z obrzydzeniem.

– Turystki, psia nędza! Za taką robotę i za tyle zachwytów powinna dać chociaż z pięćdziesiąt. Dużo tu nie utargujesz. Ale chłopak zrobił sobie reklamę. O, już pcha się do niego jakaś chuda tyka z zamówieniem. No, ten portret już mu się tak nie uda. Chociaż, jeśli chłopak sprytny, to przycieniuje, tam uwypukli. Jest noc. Światło dużo znaczy… Zobaczymy…

Janek chciał popatrzeć, jak malarz zabierze się do pracy. Chodził mu po głowie niewyraźny pomysł piosenki o brodatym malarzu i brakowało mu jakiegoś drobiazgu, szczegółu, o który mógłby się zaczepić.

Brodacz nie spieszył się tym razem. Zaczął przekomarzać się z nową klientką i postawił jej widocznie zbyt wygórowaną cenę, bo wreszcie wzruszyła ramionami i odeszła. Ale już zbliżył się ubrany z niedbałą elegancją mężczyzna, z wyglądu jakiś handlowiec na urlopie. Obserwował zapewne portretowanie Włoszki i spodobała mu się taka zabawa za dwadzieścia franków.

Brodacz rzucił na niego badawcze spojrzenie i nie uzgadniając ceny od razu kazał mu siadać. Wziął się szybko do pracy i za chwilę ludzie obserwujący tę scenę wybuchnęli śmiechem. Z naszkicowanego ledwie portretu patrzył na nich kozioł uderzająco podobny do nic nie przeczuwającego modelu. Wkrótce portret był gotowy. Klient obejrzał go nie dając po sobie poznać zdziwienia ani oburzenia. Nie mrugnął nawet okiem, tylko sięgnął do portmonetki. Wyciągnął papierek dziesięciofrankowy i w mgnieniu oka zrobił z niego ptaszka. Pociągnął lekko palcami za ogon i wtedy ptak machał skrzydełkami. Tak spreparowaną dziesięciofrantówkę podsunął pod nos malarzowi. Tamten przyjął i uchylił kapelusza. Gra skończona. Zebrany tłumek gapiów miał osądzić, kto górą. Kto kogo wystrychnął na dudka.

Brodaty malarz cieszył się jak dziecko. Chodził po rynku, siadał obok pozujących modelek i rozśmieszał je, pociągając ptaszka za ogon. Wzbudził zainteresowanie i sympatię. Więc chyba wygrał. Handlowiec zniknął w tłumie ze swoim portretem. Będzie miał pamiątkę z Place du Tertre…

– Taki jest właśnie paryski styl – powiedział Beniamin. – Odrobina fantazji z przyprawą humoru. Sami widzieliście, co wam będę dużo gadał… Burza przeszła bokiem… A teraz idziemy tam – wskazał lokalik po drugiej stronie placu. – Nie ma co odkładać. Przystępujemy do natarcia.

Szli powoli przez tłum i znaleźli się wkrótce przed małą staroświecką kawiarenką. Front domu, do pierwszego piętra wykładany dębową boazerią, tworzył z ozdobnymi drzwiami malowniczą, interesującą całość. Drewniany daszek nad wejściem dopełniał reszty. Wytarta błyszcząca klamka, dwa schodki w dół i…

– Bon soir, monsieur patron! – wykrzyknął Beniamin w stronę kontuaru.

– Bon soir! Co nowego?

– Nowe piosenki i nowe głosy. Czy będziemy mogli zaśpiewać? Właściciel wzruszył ramionami i dalej nalewał wino do małych szklaneczek.

– Zaśpiewajcie. Proszę uprzejmie. Tylko prędko bo za dwadzieścia minut zapowiedział się Del Peche. Goście oczekują na niego i trochę się nudzą. Czego panowie się napiją?

– Później coś zamówimy – zdecydował Beniamin wstrzymując gestem właściciela gotowego do usług. – Nie pijemy przed występem.

– Jak sobie życzycie panowie. Proszę bardzo

Cdn.

tekst & rysunki T. BARANOWSKI

ORIENT MEN

ŚMIESZY · TUMANI · PRZESTRASZA

ODC. 7

STRESZCZENIE

ORIENT-MEN LECI DO CELU SWOJEJ PODRÓŻY, NO I KRÓTKO MÓWIĄC NA SKUTEK ZŁEJ ZA-KOŚCI NAPRAWY DOKO-NANEJ NA ZIMNYM KA-LORYFERZE ESKIMOSA GRENLANDZKIEGO JEST PRZEZ NIEGO NAPASTOWANY W 3, NA 6 DOTYCHCZA-SOWYCH ODCINKÓW, W ZWIĄZKU Z CZYM ORIENT MEN NERWOWO PRZEŻYWA SWOJE PRZYGO-DY I MIAŁ OSTATNIO SŁABSZY WYSTĘP....

ZAPOMNIAŁEM WAM POWIEDZIEĆ, ŻE ORIENT MEN POSIADAŁ NIEZWYKŁĄ ZDOLNOŚĆ POWIĘKSZANIA SWOJEJ WIELKOŚCI, CO NIEJEDNOKROTNIE UŁATWIAŁO MU SPEŁNIANIE TRUDNYCH ZADAŃ. WŁAŚNIE DZISIAJ POSTANOWIŁ JĄ WYKORZYSTAĆ SPEŁNIAJĄC JAKIŚ BOHATERSKI CZYN DLA MIESZKAŃCÓW MAŁEGO MIASTECZKA....

ZROBIĘ DLA NICH COŚ DOBREGO..

ZWALCZĘ JAKIEGOŚ SMOKA, EWENTUALNIE POKONAM ZŁEGO CZAROWNIKA....

JAK DOBRZE POSZUKAĆ WSZĘDZIE SIĘ ZNAJDZIE JAKIŚ POTWÓR...

TBARANOWSKI '87 r.

O PROSZĘ! JUŻ SĄ PIERWSI PETENCI - MACIE JAKIEŚ PROBLEMY? NIE SIĘ NIE MARTWCIE PRZYJACIELE! JESTEM DUŻY I SILNY, I PRZEPĘDZĘ TEGO I OWEGO Z WASZEGO SPOKOJNEGO MIASTECZKA

NIE RÓB TEGO! TO CI NIE WYJDZIE NA ZDROWIE!

BYLIŚMY ŚWIADKAMI TWE-GO NIESPODZIEWANEGO POWIĘKSZENIA SIĘ! O NIESZCZĘSNY! WSZYSCY CI WSPÓŁCZU-JEMY, CO NOGLIBYŚMY DLA CIEBIE ZROBIĆ?

BIEDNY JAKI BRZYDKI!

JAKI NA OLBRZYMI NOCHAL!

A JAKIE OCZYSKA!

PRZYBYŁEM Z ZADANIEM UWOLNIENIA WAS OD KŁOPOTÓW! WSKAŻCIE MI TYLKO WASZEGO CIEMIĘŻCĘ...

DO DZISIAJ MIELIŚMY TU SPOKÓJ!

Z TAKĄ FIGURĄ ŻADNA DZIEWCZYNA GO NIE ZECHCE...

ĆOTY NIESZCZĘSNY BĘDZIESZ JADŁ, GDZIE SPAŁ?

- FAKT!!! NIEZGRABNY JEST BIEDACTWO!

POD WPŁYWEM TYCH WSPÓŁCZUJĄCYCH WYPOWIEDZI ORIENT-MEN ZACZĄŁ SIĘ ZMNIEJSZAĆ ZE WSTYDU, PRZY CZYM (O ZGROZO) NABAWIŁ SIĘ KOMPLEKSÓW I OSIĄGNĄWSZY SWOJĄ NORMALNĄ WIELKOŚĆ WCALE NA TYM NIE POPRZESTAŁ, ALE ZMNIEJSZAŁ SIĘ W DALSZYM CIĄGU....

NIE MARTWCIE SIĘ DOBRZY LUDZIE, JUŻ SIĘ ZMNIEJSZAM

CO TO ZA KAWAŁY CHŁOPCZE?

NIE KRĘĆ SIĘ MAŁY POD NOGAMI BO CIĘ PRZYPADKIEM ROZDEPCZĘ...

A WYDAWAŁO SIĘ, ŻE JEST TAKI DUŻY....

... I SILNY....

...A TO TAKIE BYLE CO...

...WZDYCHALI LITOŚCIWI LUDZIE, NATOMIAST ORIENT-MEN JESZCZE 3 DNI SPĘDZIŁ UKRYTY W MYSIEJ DZIURZE, ZANIM ODZYSKAŁ SWÓJ ZWYKŁY WYGLĄD I NORMALNĄ CHĘĆ DO ŻYCIA....

CHCESZ TROCHĘ SERA?

NIE DZIĘKUJĘ, NIE MAM APETYTU !!!

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne
Szarlota Pawel

Opracowanie techniczne
Małgorzata Kula

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Zam. 6936/G S-23

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

Karol Małusiak

BALLADA ZNAD SEKWANY

11

Ulice prawie puste. Czasem tylko przemknie samochód albo przebiegnie spóźniony przechodzień.

– Tutaj jest tak jak na prowincji – tłumaczy Beniamin. – Ale zobaczycie dalej! Paryż to nie byle mieścina, gdzie chodzi się spać z kurami i trzeba uważać, żeby nie zakłócać spokoju sąsiadom. Tu można tupać, jak się komu podoba! Idzie sobie pan Beniamin, dajmy na to, z kolegami i nikomu nic do tego!

Dobrze, że mieli ze sobą „pana Beniamina", bo sami pewnie zabłądziliby w labiryncie wąskich uliczek i nie wiadomo, czy doszliby do celu. Może rozmyśliliby się po drodze. A z nim nie było już odwrotu. Jak by mu wytłumaczyli, że nagle im się odechciało kariery?

– Macie coś mocnego na początek? – spytał nagle. – No, bo jeżeli chcecie tak zaśpiewać jak u stryjaszka Dominika na urodzinach, to ja kłaniam się pięknie, ale z wami nie idę. Tfu! Ludzie lubią dziś mocne kawałki... Lubią ogień. No! Macie coś takiego?

– Bo ja wiem? – zastanowił się Janek. – „Mocne", to można różnie rozumieć. Czy chodzi tylko o głośne?

– Mocne – powtórzył z uporem Beniamin, nie wyjaśniając bliżej tej kwestii.

– Mamy takie raczej liryczne – zaczął Piotr.

– Liryczne to liryczne – zgodził się Beniamin. – Tylko żeby nie za cicho, bo... rozumie się samo przez się, że to teraz nie idzie. Takie tam finezje niedowarzone...

– Panu też się to nie podoba? – spytał Jan.

– Mnie? – stary aż przystanął ze zdziwienia, że pytają go o zdanie.

– Dla mnie jest wszystko dobre – zrobił szeroki gest. – Ser to ser, befsztyk to befsztyk... Może być i to, i tamto, tylko popić trzeba bezwarunkowo czerwonym winem.

– Posłuchamy najpierw innych i zorientujemy się – powiedział Piotr.

Beniamin uśmiechnął się szeroko i westchnął: – Tam można słuchać tylko przy winie albo przy czymś takim – oznajmił z powagą – a my nie jesteśmy na to, mówiąc elegancko, przygotowani ekonomicznie. Trzeba wejść i zaraz śpiewać. Voilà! A jak wam się uda, to zaproponuję wam jeszcze co innego. Mam jednego znajomka w „Concert Pacra".

– Co to takiego? – zainteresował się Piotr.

– Licho wie. Trochę kawiarnia, trochę teatrzyk. Taki sobie, krótko mówiąc, lokalik dla hołoty koło placu Bastylii. Tam śpiewał Brassens, zanim wyskoczył do góry... Prosta sprawa: wóz albo przewóz. Wygwiżdżą albo polubią. Płacą chyba niedużo, ale bez pudła. I mają specjalne powietrze. Jak w starej drewutni. Ja to nawet lubię, bo można wejść niekoniecznie we fraku i nie trzeba robić mądrej miny i udawać, że wszystko się podoba. Kto chce śpiewać, śpiewa; kto chce słuchać, słucha... Bardzo przyzwoity interes.

Chłopcy niezbyt rozumieli Beniamina. Czuli się oszołomieni, jakby wchodzili do nieznanej krainy, w której obowiązują surowe prawa. Nie zawsze udaje się wbić gwóźdź jednym uderzeniem młotka. Wąską, ciemną uliczką doszli do Place du Tertre. Rynek kwadratowy, brukowany, dokoła stare domy – niskie, najwyżej trzypiętrowe.

Pod kolorowymi parasolami siedzi się tam na placu, lampeczki na stolikach, nastrój jak się należy, kelnerzy z winem biegają. A wokół tej rynkowej kawiarni, wzdłuż otaczających plac uliczek, królestwo malarzy najróżniejszych. Malują, rysują, sprzedają...

– Tutaj tak zawsze – powiedział powoli Beniamin. – W dzień i w nocy. Dzielnica początkujących artystów. Brodaci kuzyni oczekują tu swego szczęścia. Przypatrzcie się dobrze.

– Może się doczekają – szepnął Jan.

– Może – burknął stary. – Ja tam nie wiem... Czasem im się trafi

Dokończenie na str. 7